

Nr. 32 Warszawa dn. 8 sierpnia 1931. 150gr.

BŁUSZCZ



E.B.

Dwa zeszyty
WYDAWNICTWA
ŻYCIE PRAKTYCZNE
p. t.

CO, JAK I KIEDY PODAWAĆ

zawierają szereg niezbędnych rad dla pań gospodyń. Dają szczegółowe wskazówki o podawaniu śniadań, obiadów, podwieczorków, kolacyj, o przyjęciach bufetowych, wycieczkach i podawaniu chorym. Zamyka zeszyty encyklopedia umiejętnego i wykwiutnego podawania.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr.
Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, Pl. Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.

Ozdobą
nowoczesnych mieszkań
są maleńkie kaktusy.

Jak je pielęgnować, nauczy książka
Wyd. „Życie Praktyczne“

p. t.

HODOWLA KAKTUSÓW

Cena 1 zł. 50 gr.
Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa
Plac Zamkowy 9.



429

Modne roboty szydełkowe:
szale, jumpery itp. wykona każdy,
kto kupi książeczki

p. t.

100 ściągów szydełkowych i ich zastosowanie

CZĘŚĆ I:

CZĘŚĆ II:

ŚCIEGI ZASADNICZE I OZDOBNE

ŚCIEGI TUNETAŃSKIE

Cena każdej książeczki 1 zł. 50 gr.
Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. Nr. 13.555. Za zaliczeniem nie wysyłamy

Cykl nowelek

ZUZANNY RABSKIEJ p. t.

O DZIECIACH NIE DLA DZIECI

jest niezastąpionym poradnikiem pedagogicznym dla rodziców, ustrzeże ich, bowiem, od popełniania całego szeregu błędów w postępowaniu z dziećmi.

Cena 2 zł., z przes. poleconą 2 zł. 70 gr.

Wysyła administracja „Bluszezu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności na konto P. K. O. Nr. 13.555, lub znaczkami pocztowymi.

PLUSZCZ

Spółeczność Literacka i Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 8 SIERPNIA 1931 ROKU.

NR. 52.

TREŚĆ NUMERU: Władza zaufania — *Natalja Jastrzębska*. Badanie inteligencji niemowląt — *Zuzanna Melicka*. Za białą ścianą (szkie powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Poezje: „Droga z Nowojelni do Nowogródka — *Leonard Podhorski-Okółow*. Na Trockiem jeziorze — *Jadwiga Kienarska*. Zamorskie siły — *Aura Wyleżyńska*. Wspomnienie z obozu — *A. Podhorska*. Co się dzieje w sporcie kobiecym — *W. P.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Przez siatkę deszczu — *Wanda Borudzka*. Jutro trzeba będzie zapłacić — *Wanda Dobrzańska*. Oszczędność w odnawianiu mieszkania — *Jadwiga Prażmowska*. Parę słów o królikach — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Książki nadesłane do Redakcji. Korespondencje. Kolorowy dodatek „Mody i roboty“.

WŁADZA ZAUFANIA

Jeszcze o kryzysie gospodarczym. Trudno! mówić o nim trzeba jaknajwięcej, gdyż dokładne poznanie istoty i przyczyn zła może dopomóc nam do jego usunięcia.

Wiadomą jest rzeczą, że przyczyny ogólnego kryzysu gospodarczego są liczne i różnorodne: zbyt wielki rozwój produkcji przemysłowej w całym świecie; ogromne zmiany w ogólnym systemie odżywiania ludności, powodujące zmniejszone zapotrzebowanie zboża, którego produkcja, wskutek udoskonalenia uprawy i innych przyczyn, jednocześnie niepomernie wzrosła; zamknięcie dla całej Europy olbrzymich rynków zbytu na wschodzie, jak Rosja, Chiny, Indie — oto szereg komplikacyj, wywołujących ogólnoswiatowy kryzys gospodarczy.

Wszystkie te objawy są ciężkie, zwalczenie ich będzie wymagało wielkiego nakładu sił, wiedzy i pracy; niemniej jednak niema chyba ekonomisty, który zaryzykowałby twierdzenie, że są one wogóle niemożliwe do usunięcia.

Tego nikt powiedzieć nie może, gdyż komplikacje te są wynikiem działalności ludzkiej, nie jakimiś niezwalczonymi zewnętrznymi siłami przyrody np., a i te nawet pokonać już potrafimy, tembardziej może ludzkość dać sobie radę z rezultatami tego, nad czem sama pracowała.

Każde państwo, za pośrednictwem swego rządu, łącznie ze społeczeństwem, działającym racjonalną gospodarką swych jednostek, musi dać sobie radę z kryzysem wewnętrznym, lokalnym; wszystkie zaś państwa zbiorowo powinny obmyślić akcję, zmierz-

ającą do zmiany tych warunków, które kryzys spowodowały.

Coś robi się już zresztą w tym kierunku. Widzimy to na przykładzie akcji, zapoczątkowanej dla dopomożenia Niemcom. Że w tej akcji bruździ polityka i wojenne, germańskie zapędy, że możnaby dużo mówić o jej właściwych (raczej zakulisowych!) powodach, a nawet o racjonalności tego zapędu, to nie zmienia postaci rzeczy; faktem jest, że niema dziś odosobnienia gospodarczego i finansowego w żadnym kraju, ale wszystkie są od siebie zależne.

W tej zależności zaś, zarówno jak i w stosunkach wewnętrznych, lokalnych każdego kraju, gra rolę jeden potężny czynnik, który może podźwignąć wszystko z upadku, ułatwić wzajemne stosunki, dopomóc do rozwikłania najtrudniejszych sytuacji. Czynnikiem tym jest zaufanie.

Tylko tyle?

Jest to niezmiernie wiele, a jak wiele, widzimy znowu na przykładach najdalszych stosunków międzynarodowych.

Na krótki czas przed propozycją Hoovera, wyjaśniał b. minister skarbu, p. Matuszewski, w szeregu artykułów, że jedną z przyczyn obecnego kryzysu stał się też odpływ pieniędzy z Europy do Ameryki. Spłata długów, zaciągniętych w czasie wielkiej wojny. Same spłaty jednak, aczkolwiek poważne, nie spowodowałyby jeszcze kryzysu, gdyby Ameryka, nagromadziwszy astronomiczne cyfry zapasów pieniężnych, nie była ich zamknęła u siebie, odgradzając się ponadto barjerami celnymi i imigracyjnymi.



7271 10/1
Cz. 434/64 < 1931 >

Ale właśnie Stany Zjednoczone zastosowały ściśle zasadę Monroe'a: Ameryka dla Amerykanów, i do Europy nie miały zaufania!

I wystarczyło paru lat, aby wystąpił kolosalny, w tych rozmiarach nigdy dotychczas w historii nieznaną, kryzys ogólny. Spowodował on wreszcie cofnięcie się Ameryki z poprzednio zakreślonej linii wytycznej jej polityki i chęć dopomożenia Europie; jak powiedziano wyżej, nie to jest ważne, że pomoc *utyka*: ważne jest zrozumienie istoty sprawy.

To samo obserwować można w stosunkach wewnętrznych każdego państwa.

O ile w danym kraju panuje zaufanie do własnego państwa, pewność siebie i wiara we własne siły, o tyle łagodniej przebiega tam każdy kryzys i szybko się kończy.

Francja przechodziła przed kilku laty jeden z najcięższych kryzysów wewnętrznych, inflację powojenną, połączoną z niesłychanym, kilkoletnim wyniszczeniem kraju. Poincaré podjął wówczas ustabilizowanie waluty. Projekt jego był świetny, ale projekt zrobić można zawsze; coby się jednak było stało, gdyby obywatele francuscy nie podtrzymali go, lecz zaczęli za swe oszczędności kupować dolary, lub funty? Ale francuzi mieli wiarę w siebie, mieli zaufanie; kilka lat pracy, oszczędności, wysiłku i dziś Francja jest krajem, posiadającym największe zapasy pieniędzy w Europie.

A pieniądze te nie przyszły z zewnątrz: wytworzono je i zgromadzono własnymi siłami, a wartość nadał im stosunek do nich społeczeństwa. Mamy też inne, świeższe przykłady: kryzys niemiecki rozwija się na wielką skalę, kraj stanął w obliczu bankructwa, pożyczano wszędzie, aż okazało się, że banki prywatne, zarówno jak rządowe, nie mają pieniędzy. Dlaczego? Długi wojenne? Ależ Niemcy nie zapłaciły ich ani grosza, wszystkie spłaty uskuteczniały z pożyczek, przemysł rozwinął się tam po wojnie doskonale, a więc? Naturalnie: ogólne powody kryzysu wszechświatowego, dużo polityki i chęci wymuszenia pomocy, ale jednocześnie drobna, niepozorna informacja agencji prasowych, może nawet nie przez wszystkich zauważona: *lwia część olbrzymich zysków wielkiego przemysłu, któremu rząd tak hojnie udzielał pożyczek, ulokowana została przez właścicieli w bankach angielskich i francuskich!*

Ano, to ładna gospodarka, ale też nie dziwny się, że pomoc, tak skwapliwie z początku zaofiarowana przez Amerykę, teraz zbytnio nie śpieszy.

Obywatele tego kraju nie mają zaufania do swojej waluty i do własnej gospodarki finansowej, inne kraje nie mają do nich zaufania z powodu ich ogólnej i finansowej polityki.

Jakże inaczej przedstawia się sytuacja Anglii! Poważna ilość jej kapitałów zaangażowana została w przemyśle niemieckim, co obecnie, wskutek zachwianej sytuacji finansowej Niemiec, odbiło się

na zaufaniu do waluty angielskiej; pozatem wskutek różnorodnych konjunktur politycznych, różne kraje zaczęły wycofywać złoto z banku angielskiego, „odpływało“ po 2—3 *miljonów funtów dziennie*; doszło do tego, że zapas złota banku angielskiego spadł do 154 milionów funtów, gdy najniższa norma pokrycia, dla zabezpieczenia kursu funta musi wynosić 140 *miljonów*. I co? Czy Anglicy desperują, czy zapanowała tam panika, run na banki, wycofywanie z nich kapitałów i kupowanie dolarów? Nie podobnego! Anglicy twierdzą, że można spokojnie grać w golfa*) i składać jaknajwięcej pieniędzy do banków, aby pokryć niedobory; resztą zajmie się gubernator banku angielskiego, lord Montagu Norman, inni finansisci i ekonomiści i rząd.

To się nazywa zaufanie.

A w Polsce?

W artykule swym: „Sytuacja gospodarcza“ (Nr. 31 „Bluszczu“) przestrzega p. Paradowska-Szelągowska przed lokowaniem polskich kapitałów zagranicą.

Jakto, zapytujemy, czy to wogóle potrzebne?

W Polsce, której waluta ma, jak widzimy z tegoż artykułu, największą wagę dla tych samych Niemiec, no i dla innych krajów, choćby dla Anglii, której brak już potrzebnego pokrycia dla kursu funta, podczas gdy Polska ma pokrycie *więcej niż wystarczające*: 54,4% zamiast wymaganych 40%! (26 czerwca r. b.).

Ano, zobaczymy, jak to wygląda w praktyce, dwa tylko małe przykłady.

Oto, gdy wskutek chwilowych machinacji giełdowych, grupa spekulantów zaczęła nabywać dolary w Polsce, aby sprzedawać je z zyskiem w Niemczech, cała serja zwykłych, normalnych ludzi poszła za ich przykładem, nabywając dolary, „bo idą w górę“.

Naturalnie, po kilku dniach machinacje się urwały, dolar wrócił do normy, a naiwni zostali ze stratą, przyczyniając jej pośrednio i państwu.

Drugi przykład: kilka dni temu rozeszła się wiadomość, że zakłady w Jaworznie ulokowały 300 tysięcy dolarów w banku holenderskim, który jest poważnie zachwiany!

Czy wystarczy? Chyba, żeby jeszcze dodać, o czym też wszyscy wiedzą, że istnieje dużo kapitałów polskich, którzy chowają w safes'ach dolary?!

Otóż z tem trzeba skończyć. Jeżeli nie będziemy mieli zaufania, tak usprawiedliwionego przecież, do własnych pieniędzy, nie wyjdziemy z kryzysu; jeżeli to zaufanie będzie i przejawia się czynem, wtedy każdy kryzys przetrwamy, tak, jak przetrwała go Francja.

Słusznie też pani Szelągowska wzywa do tej akcji kobiety-obywatelki. Trzeba nieustannie przypominać im o tym obowiązku, trzeba je uświadamiać o istocie zasad finansowych, trzeba wyjaśniać wszystkie

*) autentyczne.

ich punkty, bo kobieta jest dziś narówni z mężczyzną motorem w pracy gospodarczej i w kapitalizacji, a może ruchliwszym w opinii i w polityce wychowawczo-społecznej.

W domu, w szkole, w biurze, w stosunkach ze służbą, z dostawcami, w sklepach, w salonie, w sto-

warzyszeniach, wszędzie musimy szerzyć zasadę zaufania do naszych pieniędzy i wszystko, cokolwiek mamy, lub zaoszczędzić możemy, składać w polskich bankach i instytucjach finansowych. Widzimy, jaką rolę gra dziś w polityce sprawa zaufania. Musimy więc utrzymać je u siebie.

Natalja Jastrzębska.

BADANIE INTELIGENCJI NIEMOWLĄT

.....a jeśli masz dziecko — najszcześliwszy z ludzi —
Które jest, jako ptaszek, i motyl, i kwiat,
Spójrz w oczy twego dziecka — i w sercu ci się zbudzi
Radość, której nie zaćmi najsmutniejszy świat“.

(„Uśmiech dziecka“ — Julian Ejsmond).

Uśmiech dziecka — to tęczowy pomost pomiędzy niem a matką. To jej bezcenna nagroda za trudy nieprzespanych nocy, za wysiłek sprawionej zabawki.

Matka kocha dziecko za podszeptem instynktu. Ale kochać — tylko kochać — nie wystarczy. Trzeba jeszcze nad niem czuwać. I znać je. I rozumieć. Nato potrzeba lat zmuśnej pracy. By coś wiedzieć o własnym dziecku, trzeba znać i inne. Wyznaczyć mu właściwe miejsce w szeregach tej szkółki, jaką jest podrastające pokolenie. Niemowlę — ruszyło się, zawołało, uśmiechnęło. „Cudowne!“ — Czteroletni obywatel — spytał, co to pociąg, pokazał, jak auto się rusza. „Ma techniczne uzdolnienia!“ — Czyżby wszystkie dzieci musiały być cudowne? Czyż nie wystarcza, że są normalne?

Wyznaczyć granice tej normalności, możliwie wcześniej stwierdzić, po której stronie krawędzi rozpoczyna się odchylenie w tę lub tamtą stronę, i na zasadzie przesłanek psychologicznych, ścisłych, naukowych wyprowadzić wnioski racjonalnego wychowania — oto zadanie współczesnej pedagogiki. Nadać właściwy kierunek płomieniowi macierzyńskiej miłości, wesprzeć, podsyć go wiedzą — wiedzą o dziecku.

Psychologja eksperymentalna dysponuje dziś metodami, które pozwalają obiektywnie ocenić zasoby intelektualne dziecka, a rozszerzywszy zakres na młodzież, opuszczając mury szkolne, po skrupulatnym zbadaniu i obliczeniu wyników służyć cennymi wskazówkami w postaci poradnictwa zawodowego.

Niejedną cegiełkę do tego gmachu młodej jeszcze nauki wniosła prof. Charlotta Bühler (która na zaproszenie Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. bawiła w kwietniu r. b. w Warszawie, gdzie wygłosiła cykl wykładów dla nauczycielstwa szkół średnich).

Profesor Charlotta Bühler wraz ze swym mężem, prof. Karolem Bühlerem, jest propagatorką zupełnie nowego kierunku psychologji „przejawów życiowych“ (Lebenspsychologie). Przedmiotem jej badań są poszczególne fazy rozwojowe w duchowej ewolucji czło-

wieka: w rezultatach swych doszła do wyodrębnienia momentów, kiedy w niemowlęciu rozpoczyna się budzić praca intelektu, kiedy w dziecku poczyna kielkować poczucie społeczne; później, jak u młodzieży w okresie dojrzewania wygląda krzywa popędu seksualnego, idąca równolegle z krzywą potrzeb erotycznych. W odróżnieniu od nauki Freuda, który nie dopatruje się różnic między czystym seksualizmem, a „momentem rozbudzonej tkliwości“ — prof. Charlotta Bühler widzi tylko korelację tych dwóch czynników, a nie ich jednoczesność. Zresztą, okresy dojrzewania — według Bühlerowej — przebiegają odwrotnie u dziewcząt i chłopców. Nastawienie dziewcząt jest pełne oczekiwaniami, bierne, nacechowane wielokierunkowym, rozbieżnym pobudzeniem; natomiast u chłopców w tymże okresie powstaje zwielokrotnienie innych popędów, potrzeba regulacji jeszcze niespecyfikowanych pragnień i intencji życiowych.

Ten właśnie okres — niebezpieczny dla młodzieży, a wymagający zdwojonej czujności ze strony wychowawców — jest przedmiotem szczególnie drobiazgowych studjów Bühlerowej.*) Materjałem, którym się posilkuje przy swoich badaniach, są autentyczne dzienniki, pamiętniki, względnie życiorysy. To też pracownia prof. Bühler wygląda odmiennie od innych laboratorjów psychologicznych: zamiast tablic, przyrządów, pomocy, mających na celu badanie wrażliwości zmysłów, szybkości reakcji i t. p. — stoją tu szafy, skrzynie, kartoteki, wypełnione papierami. Te manuskrypty i te protokoły — to baza operacyjna jej dociekań naukowych.

Pojęcie poszczególnych, a jasno skryształizowanych faz rozwojowych przenosi Bühlerowa w śmiałej hipotezie z epoki dzieciństwa na życie człowieka dorosłego. Prócz wykresu krzywej biologicznej, próbuje podjąć klasyfikację życia ludzkiego na trzy stadja, z których pierwsze jest niejako przygotowawcze, drugie stanowi okres obiektywnych czynności (Stationierung), i wreszcie trzecie — okres przemian wstecznych (Rückbildung).

Są jednostki, u których nasycenie tych form ewolucyjnych występuje w stosunkowo krótkim okre-

*) „Kindheit und Jugend“, „Das Seelenleben des Jugendlichen“, „Vergleich der Pubertätsentwicklung bei Knaben und Mädchen“.

sie życia fizycznego — do nich naprzykład należał Shelley. Klasycznym przykładem pełni intensywnych faz jest życiorys Goethego. Przy wnikliwym spojrzeniu zauważyć można pewną analogję biografij osób zgoła różnych, nawet żyjących w rozmaitych epokach, jak np. Marceliny Desbordes-Valmore (aktorki, poetki, ur. w początkach wieku XIX) i słynnej artystki Eleonory Duse.

Syntetyczne wnioski Bühlerowej oparte są na drobiazgowej i systematycznej analizie, dającej rękomię dużej solidności naukowej; w ramach tak szczupłego artykułu nie sposób wszakże podawać metody jej badań.

Jedną z rewelacyjnych zdobyczy, wniesionych przez nią na teren psychologii stosowanej, jest opracowanie *testów dla niemowląt* (Baby tests).

Nie od rzeczy może będzie kilka słów wyjaśnienia, na czem polega metoda badania przy pomocy testów. Otóż testy są to krótkie próby, mające na celu ustalenie poziomu rozwojowego dyspozycji psychicznych u danej jednostki; oczywiście, aby można było otrzymać wyniki obiektywne, próby te muszą być przeprowadzane w tych samych warunkach, z identycznie brzmiącą instrukcją. Najbardziej znane są testy na inteligencję Binet-Simona dla dzieci od lat 3-eh, przyczem ocena wymierzana jest w sposób następujący: dzieli się liczbę lat dziecka, wyrażoną w miesiącach, przez liczbę pozytywnych odpowiedzi, wyliczoną w jednostkach, a otrzymany stąd iloraz stanowi *wskaznik inteligencji* dziecka.

Dla dzieci młodszych od wieku wyżej wymienionego dotychczas prób podobnych nie było — i to ze względów zrozumiałych: przedewszystkiem trudno było ustalić podobne zadania dla niemowląt, a po drugie — nie zachodziła konieczność badania. Nasunęło ją samo życie: często zdarzają się przypadki adaptacji dzieci zakładowych. Przybrani rodzice kierują się przy wyborze zewnętrznym wyglądem dziecka, a po pewnym czasie odsyłają je napowrót do zakładu, skarżąc się na rozczarowanie, jakie sprawił im spóźniony lub zgoła niedostateczny rozwój dziecka. Aby uniknąć tych przykrych niespodzianek, obecnie przed oddaniem w ręce prywatne — poddaje się dzieci badaniu, właśnie przy pomocy testów Bühlerowej. Pozatem, ze względu na osobiste dobro dziecka, wczesne rozpoznanie niedorozwoju umysłowego może wspomóc do zmniejszenia jego następstw.

Nie należy sądzić, że do badania niemowlęcia trzeba jakiejś zawilej aparatury psychotechnicznej — nie! wystarczą przedmioty codziennego użytku, i eksperymentować nad dziećmi może każdy. Ale właśnie dlatego, że może uczynić to każdy — należy przestrzec matki, aby zbyt pochopnie nie korzystały z łatwości dostępnego materiału. Przedewszystkiem, badanie indywidualne będzie niecelowe: trzeba dysponować ska-

łą porównawczą, by na tej zasadzie opinjować o badanem dziecku. A skala ta u nas jest dopiero w opracowaniu przez masowe badanie dzieci zakładowych, i nawet przy podaniu jej do publicznej wiadomości nie będzie jeszcze całkowicie miarodajna dla dziecka, wychowywanego w środowisku rodzinnem, gdyż stwierdzone jest pewne opóźnianie się niemowląt zakładowych w normalnym rozwoju umysłowym. Dlatego też byłoby wyrażnie niewskazane, by matki bezkrytycznie korzystały z przytoczonych niżej przykładów, stanowiących zresztą część całokształtu badania.

Dla orientacji niech wystarczy jeden z testów (dla niemowlęcia dwumiesięcznego): eksperymentator, w odległości półmetrowej od pola widzenia dziecka, w ciągu 5 sekund rusza małą grzechotką. Poruszanie głową w poszukiwaniu źródła dźwięku — choćby spojrzenie pozostało przy tem tępe — uważa się za rozwiązanie testu przez dziecko.

Pomijając serję testów dla niemowląt w okresie wieku między 1 a 9 mies. — gdyż może to być zapewne ciekawe tylko dla osób, bezpośrednio zainteresowanych metodą podobnych badań — zatrzymamy się z kolei na próbie, stosowanej przy ostatnim z szeregu badań, przeznaczonych dla osesków — na badaniu dziecka 9-cio miesięcznego: układa się wieżę z pustych sześcianów (bez szóstej ściany); o ile dziecko przewróci tę wieżę, test uważa się za rozwiązany. Zaznaczyć należy, że moment, kiedy dziecko burzy już ustawioną przez dorosłych konstrukcję, należy rozumieć nie jako wyraz skłonności destrukcyjnych (jak to się często tłumaczy), ale jako sygnał do ponowienia tej zabawy, która się dziecku podobała.

Przy ocenianiu wyników testów chodzi nietylko o sąd, czy dziecko jest opóźnione, lub posunięte w rozwoju, ale nieraz o stwierdzenie, pod jakim względem pozostało ono poniżej normy, lub w czem prześcignęło rówieśników. Testy Bühlerowej mają na celu wykazanie sukcesywnie ewoluujących przejawów życiowych w następującym porządku: 1) opanowanie ruchów i pozycji ciała, 2) operowanie rzeczami, 3) zachowanie się w stosunku do innych, 4) naśladownictwo, 5) pamięć, 6) celowość w wykonaniu (Zielsetzung und Leistung).

W Polsce testy Charlotty Bühler były stosowane przez Wandę Szumanową.

Na tej mądrej, żywej, inteligentnej pracy prof. Bühlerowej uczyć się może wychowawca, jak ma wyostrzyć oko i ucho psychologiczne, aby czuwanie było owocne — bo czemu, jeśli nie ustawicznym czuwaniem jest wszelka opieka nad dzieckiem? — aby poprzez wszystkie fazy rozwoju być blisko duszy, jego pieczy powierzonej, z losu czy z wyboru — poprzez wszystkie fazy, od maleństwa, od bezradności ludzkiego pisknięcia począwszy.

Zuzanna Melicka.



ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

9)

(szkie powieściomy)

Jest już niebieskawo (może nawet duchy już wyszły „na spacer?“). Za nic nie siedziałyby teraz sama. Co innego z takim mężczyzną, jak Stach. Opowiedziała mu wszystkie nowiny: dzisiaj przyjechał pan Roman... jej nauczycielka jest coraz miłsza kobieta... Żabka urodziła czworo, ale jedno zdechło...

Teraz mówi Stach:

— Ciebie przecież w domu nie kochają — powtarza — i dlatego zabiorę cię do swojego domu. Jak skończę agronomję (Stach jest w trzeciej klasie), będziemy mieszkać w tatusiowej Leśniczówce. Nauczę cię żyć porządnie. Nie będziesz nosiła wtedy tych głupich, jedwabnych fatalaszków, tylko samodział. Będziemy pracowali dla Polski. Kocham cię, Li, ale jeżeli ty mnie oszukasz i zawiedziesz, to poczekaj!

(Jakby śmiała! Józio organisty przy Stachu — to „chuchro“. Dobry tylko na zastraszenie, na „zadrość“).

Czternastoletni skaut bije się w piersi z zapamiętaniem:

— Ty mnie nie znasz! jabym ci nie darował!...

Lilka zgarnia rękoma kolana. Słucha z rozkoszą strzępionych, zachrypniętych zakłęk. Chrupie wytrwale orzechy. Rozkosznie jest mieć przy sobie mocne ramię w zielonej bluzie i być osnową tajemnicy wieczoru.

Trochę tylko drapie po sumieniu ostatni grzech: obietnica dana Józiowi, że napewno pójdzie z nim zobaczyć nowonarodzone cielątko. Żeby się tylko nie wydało przed Stachem, bo nabiłby rywalowi nowych sińców!

W pałacu cisza.

Borski na wycieczce z nauczycielką; rządcą z panną Felicją na bridge'u u księdza; pokojowa obdarowana starą „krepdeszyną“ i długim „wychodnem“.

Złote story w buduarze pani Heli zasłonięte starrannie.

W miarę, jak przesuwa się wskazówka na małym zegarku coraz mocniej zaciskają się ramiona koło szyi kochanka. Ramiona, pachnące Guerlain'em.

Słowa, doniedawna zbyteczne, strzępione w gorączce pożądania, wracają teraz zwolna, wezbrane krwią, połamane rozkoszą:

— Roma... nareszcie... nie mogłam się doczekać... ty mój szaleńcze!...

Usta, już wyssane ze słodyczy i zapachu, raz po raz pęcznią nową tęsknotą, toną w bezpamiętnych pocałunkach. Przez ciało ulewa żądzy przelata radość zbyt wielką, zbyt już podobną do męki. Nie pozostało nic z bogactwa szmaragdowej siły oczu —

tylko mgła upojenia. Nic z dumy portretowej damy, z uśmiechu demona. Chce się odrzucić od budzącej myśli to smutne: czas. Bo oto już godzina zmierzchu tężeje za złotą storą; najbliższa chwila będzie już wyzbytą pieszczot; rozstanie — kiedy będą musiały rozwiązać się ociążałe ramiona.

Coraz szybsze, jaśniejsze kręgi zataczają myśli mężczyzny. Pyta zawczasie, niepotrzebnie:

— Maciej wie o moim przyjeździe? Cóż mówił?

— No, jak zwykle — nic. Tym razem namówiłam proboszcza: zgodził się na odnawianie nawy kościelnej. To będzie trwało długo...

— Nie lubię takiej roboty...

— No, cóż, trudno. Mamy dosyć portretów. To będzie zato trwało długo...

Braknie dość miodnych słów na złagodzenie rozterek, dość miękkich dotknięć na wygładzenie zmarszczki czoła nad kruczemi brwiami. Żeby nie mówił o tem wszystkim ze świata, tylko jedno, zawsze upragnione: kocham! — Żeby zapomnieć życia, przyczyn i skutków, intryg i małości w objęciu najukochańszem. Aby życie zawisło na purpurowych pasmach szaleństwa, stężało w spazmie rozkoszy, krzyknęło męską żądzą.

I niech dłonie będą zaborecze. Niech usta będą nienasycone. Niech zabiorą z ciała ogień i piękno. Całopalenie.

Takie były godziny życia pani Heli.

*

Rena wróciła z wycieczki bardzo zmęczona. Nie, że bolały nogi kilkogodzinną prasą siodła; nie to, że upał (blednący zresztą za lasem) wysuszył wargi — ale że było ciężko unieść tyle obcych, smutnych zwierzeń.

Jechali długo krętą drogą. Zauważyła: trzymał się w siodle bez zarzutu (jak stary hrabia z angielskiego sztychu). Długo żuli uprzejme milczenie, zanim z białych, zmiętych ust nie wypełzły jedne za drugimi słowa—skargi, słowa—zarośnięte drzazgi. Należało być dobrą (niepowołaną) siostrzyczką, która pomaga cierpieć, kojącą maścią współczucia i zrozumienia łagodzi rany. Należało słuchać w niemym, przykrym podziwie:

— ...jest młoda i piękna, nie mogę jej wzbraniać życia... pragnę dla niej szczęścia, bo kocham Helę nad wszystko...

(To, co doniedawna miało tylko mdłe kształty domysłów — weszło teraz w określone ramki).

I Rena, mijając w kurzu i milczeniu skrzypiące wrota podwórza, nie patrzy na zgaszony w smutku, ostry profil pana Macieja. Rozumie.

Życie, które nie jest Warszawą, ani Urlami, życie ludzi obcych, jest także prawdziwe i może być tragiczne. Jest się małym krasnoludkiem, wyprowadzonym na szeroki gościniec, przy którym rosną szeregiem krzywdy, piętrzy się zło, czyha uśmiechnięty grzech.

Dwór milczy od podwórza ciemnymi oknami. Kryje pulsujące życie od strony ogrodu. Furtka wzdycha przeciągle, rozchylone białe płatki tytoniu patrzą na cieniutki sierp księżycy.

Lilki niema jeszcze w pokoju (gdzież znówu włoży się ten dzieciak?). Bola rozsadzone siodłem kolana, w oczy gryzie kurz. Zimna woda jest balsamem. Chłodne, najmiłsze dotknięcie ma ukochana, domowa sukienka. Włosy gładzi się byle jak, aby prędzej już ta kolacja, bo głód aż krzyczy. Myśli strzępią się zło, bezkarne. Brzęczą nieznośnie muchy przy szybie (kto też mi okno zamknął?). No, można już iść.

Zaraz za drzwiami jadalnego dziwi niecodzienny gwar. Przedziera go, rozbija, nowy, bardzo mocny głos.

— Pan Lackinasza kuzynka.

Trzeba przelknąć razem: niedbały uśmiech, własne wzruszenie i nagły zachwyt. I, rzuciwszy śmiało

spojrzenie na dno bardzo żywych, brązowych oczu — zrozumieć: to ten.

Pani Hela rozsypuje po białym obrusie blaski biżuterji, niepotrzebne ruchy dłoni, szklane uśmieszki. Raz po raz zbiera je i starannie kryje śmiech, wyrzucany rozrzutnie z bardzo krwistych warg gościa:

— ...mówię do nich: kochane chłopaki, mnie, malarzowi, przyjacielowi waszemu, nie wierzycie?...

Brzęczy metalicznie łańcuch artykułowanych dźwięków, zbyt mocnych, aby mogły przebrzmieć bez echa. Zostają w samym ośrodku świadomości, stają się szybko treścią, oddzieloną samoistnie od innych spraw.

Te oczy i ten głos zajmują odrazu wszystko miejsce między własną spłoszoną rzęsą, a przestrzenią.

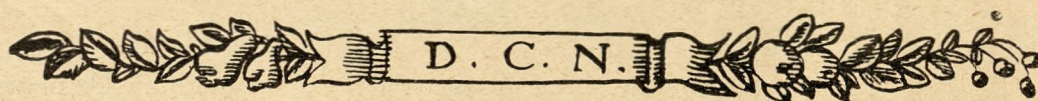
Nie można podźwignąć powiek. Boją się odsłonić po raz drugi światło, które, skoncentrowane, lśni w orzechowych, błyskotliwych oczach mężczyzny.

Należy być przedewszystkiem obojętną. Krajać zmęczoną ręką chleb, zwierzać się z wycieczki panie Felicji, rozpytywać Lilkę o szczegóły ostatnich godzin.

Należy być za wszelką cenę obcą.

Ale przez wszystkie słowa nijakie i bezradne wystukuje serce głośno zupełnie niepotrzebny alarm wzruszenia.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska



LEONARD PODHORSKI - OKOŁÓW

Z CYKLU: „NOWOGRÓDZKIE“

DROGA Z NOWOJELNI DO NOWOGRÓDKA

Ach, jak daleko,
I Marszałkowska, i Aleje!
Powietrze jest — jak mleko,
Wiatr na wolności szaleje.
Autobus ciemno-siny
W poranku, jak w morzu, się nurza:
To sływa w doliny,
To, marząc, wspina się na wzgórze.

A w autobusie jada
Jacyś zupełnie inni ludzie:
Nie mówią z przesadą
„Poriadam ci“, „wszakże“ i „tudzież“...
Jakaś panna kresowa,
Jak ten ranek hoża i urodzima,
To się przede mną chowa,
To z za głomy vis-à-vis myplywa.

I słońce inne jest w niebie,
I drogi, pola i blonia.
Kto widział w Warszawie źrebię?
Kto słyszał rżącego konia?
Kraj jasny jest i ranny,
Jak myśl, płynąca bez przymusu,
Jak śmiech tej ślicznej panny,
Rozbrykanej w głębi autobusu!

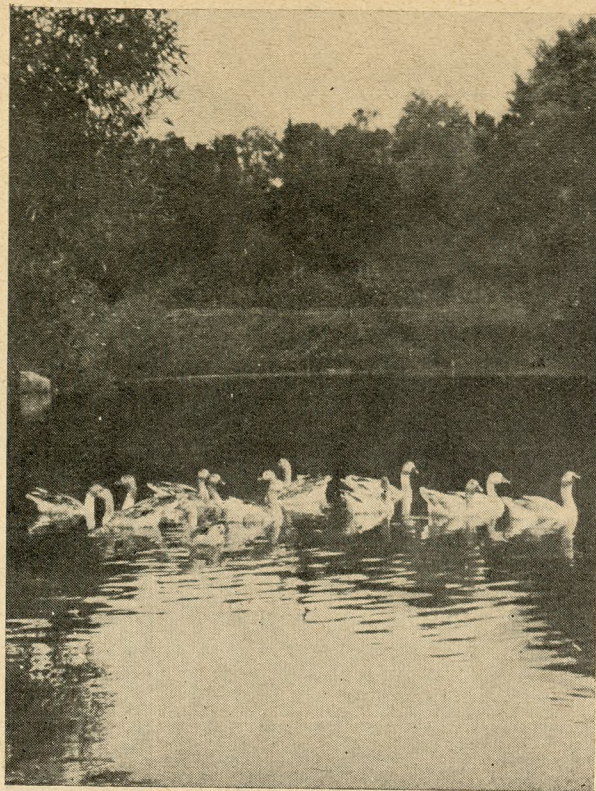
NA TROCKIEM JEZIORZE

Miasteczko Troki jest tak biedne, ciasne i brudne, że trudno sobie wyobrazić, iż niegdyś był to gród wojewódzki. Jezioro Trockie uchodzi za najpiękniejsze z litewskich jezior, słynnych ze swej urody. Rywalizuje z niem jedynie Narocz.

Na rozległym wód obszarze dziewiętnaście zielonych wysp, dziewiętnaście cienistych oaz dla wycieczkowiczów i żeglarzy. Na jednej z nich piętrzą się groźne i wspaniałe ruiny zamku, wzniesionego przez wielkiego księcia litewskiego Kiejstuta dla umiłowanej Biruty. Czerwienią się ceglane zwaliska i złomy, barwy krwi zakrzepłej. Resztki baszt obronnych wyglądają, jak zaciśnięte pięście olbrzymów. Ostatnie słupy zwodzonego mostu zmyła powódź wiosenna. Wał osunął się i wykruszył. Fosa zarosła drzewami. W dawnej sali rycerskiej rośnie dzika jabłotka, a lipy, osypane kremowym kwiatem, pełne są brzęku pszczoł takich samych, jak te, co ciułały miód dla Kiejstutowej pasieki.

Ocalały podobno ślady fresków w kaplicy, zbudowanej przez Witolda, pierwszego w Kiejstutowym rodzie chrześcijanina. Przy ogromnym wysiłku wyobraźni i niewyczerpanym zasobie dobrych chęci możnaby je sobie w myśli odtworzyć. Ale niema na to czasu: zawsze jest go za mało na zwiedzanie miejsc ciekawych. Zato na życie codzienne, powszednie, mamy go zdecydowanie za dużo.

Ale smrodliwy, małeńki autobus nie czeka. Gotów odjechać bez nas. Zachód słońca barwi niebo i wodę mocnym różem i bladym seledynem. Polskie niebo i litewskie jezioro mają koloryt rzadkich sztychów angielskich z końca XVIII-go wieku. Łódź przybiła do brzegu. Odwracamy się poraz ostatni i chłoniemy łapczywymi oczyma widok zamku i jeziora. Bóg wie, kiedy je znowu zobaczymy?...



Na stawie pływają gęsi...

Wśród takich pól przed laty...
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany...



Kroczą majestatyczne indory...

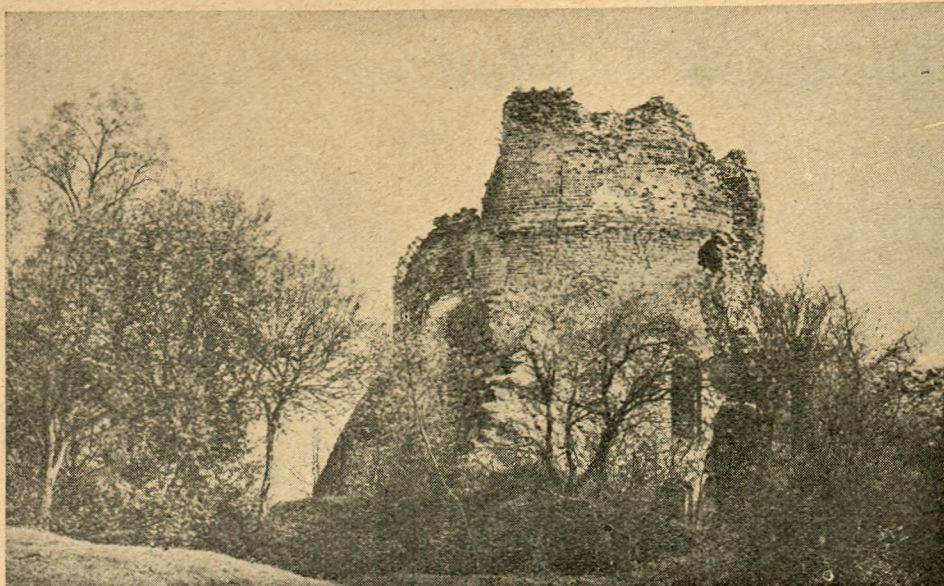
Stałby i dotąd, gdyby weń nie uderzył zniecka piorun wojny, który go zrównał z ziemią. Zasypano już i zaorano ślady okopów, rozwikłano potworne skłębienia koleczastego drutu, który został zużytkowany na ogrodzenia gospodarce. Wysokich, czerwonych kwiatów, rosnących ze zdumiewającą obfitością na dawnych pobojuwiskach, widzi się teraz też coraz mniej.

Mieszka więc szlachcic kresowy w dawnej chacie dzierżawcy, czy ekonoma, dziwnym trafem ocalałej. Niskie pułapy z grubym belkowaniem, podłogi z desek, na bielonych ścianach samodziałowe kilimy. W miejscu poczesnem szerniały ryngraf z Matką Boską i pas słucki. Widok ogólny nie tak znowu różny od tytułowej karty pamiątek Chryzostoma Paska, w wydaniu „Album de Wilna”. Podobieństwo potęguje obecność zwierząt, kotów przymilnych i mądrej, taktownej wilczycy.

„Na Litwie much dostatek”: pod niskim stropem chałupy jest ich nawet nadmiar; mało co pomagają lepy, we wszystkich kątach pokoju rozwieszone.

Skarżyć się jednak nie wypada, nikt si ętu nie skarży. Żyje dawny karmazyn kresowy trybem okolicznych chłopów, kurtę z samodziału rok dziesiąty donasza. Panna domowa, wraz z dziewczętami z czeladnej, podłogę nieheblowaną własnoręcznie szoruje. Dziedziczka na wóz drabiniasty, słomą wymoszczony się ładuje, lejce w garść i jazda! do pobliskiego miasteczka, cielęta i „parsuki” sprzedawać.

Wszyscy tu pracują ostro, ciężko, sumiennie.



...piętrzą się groźne i wspaniałe ruiny zamku...

Rzadkie są tu święta i radosne. Dziewczęta i młode kobiety bardzo piękne. Kwitną wspaniale i krótko. Godzą się na swe tak wczesne przekwitanie z rezygnacją, pełną słodyczy. Wystrzeli naraz w górę młoda dziewczka, w oczach się w piękną pannę przemieni. Oczy raduje, serce rwie. Na sąsiedzkich imieninach, w odbijanej czy zwodzonej mazurkowej figurze wiele pokus rozpali. Parę koszyków rozda. Ktoś się o nią będzie strzelał. Ktoś inny popędzi do jeziora w samobójczym zamiarze. Zaręczyny. Ślub. Macierzyństwo, bardzo prędkie zazwyczaj. Kozuch i buty kozłowe; przy dojeździe krów od piątej rano obecna. I z ciotkami i kuzynkami licznymi narada: — Powiedzcie mi, moje złote, ale tylko szczerze: czy to nie będzie śmieszne? Czy to wogóle wpa-



Troki. — Zamek W. K. L. Kiejstuta na wyspie jez. Galwe, założ. r. 1545.



...Czerwienią się ceglane zwałiska i złomy...

da, żebym ja, matka dziecku, jeszcze tańczyła?

A choćby i odpowiedź familijnego areopagu wypadła pomyślnie, to i tak się niewiele nahula niewiasta, bo macierzyństwo, drugie, trzecie, czwarte (któżby tam zrachował i przewidział) w niwecz taneczne zamiary obróci i smukłą, wiośnianą piękność w matronę przysadzistą, a nadwiedłłą, w czasie najkrótszym przemieni.

Są więc tutejsze kobiety, jak pszczoły-królowe, co to jedne tylko w życiu znają gody, a potem długie lata matki i pracownicy. U pszczoł funkcje te są podzielone; w jedno je łączy dzielna kresowa niewiasta.

A przyroda tu jest piękna nad podziw, dostojna, pełna powagi i słodyczy.

Człowiek tu żyje blisko natu-

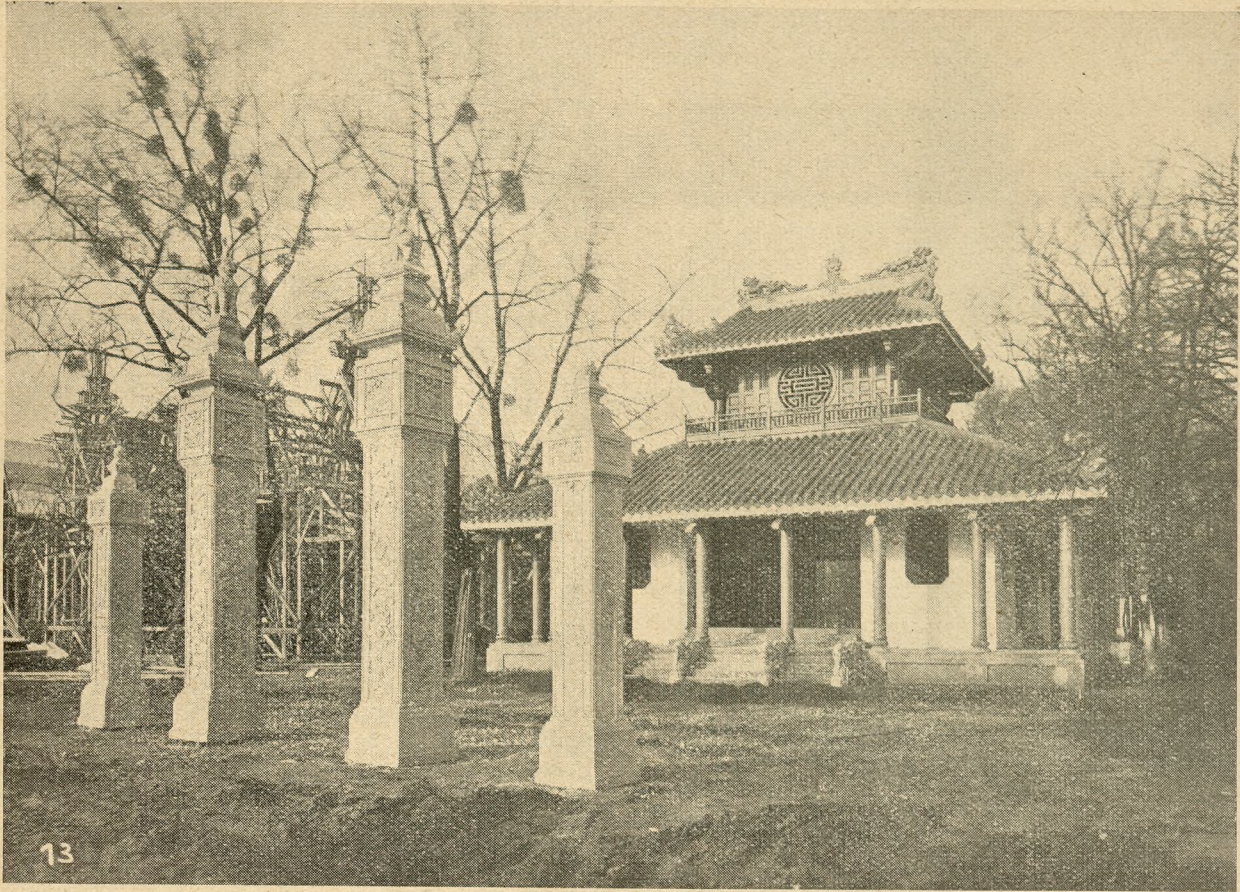
ry i „wszelkiej żywioly“ (tak tu nazywają zwierzęta i bydłota wszelkie). Koń tu przyjacielem, krowa — dobrą znajomą. Kroczą majestatyczne indory, którym myślenie podobno szkodzi, więc się bynajmniej nie przejmują faktem, że cena na nie tak spadła, iż się ich wogóle niedługo hodować nie opłaci. Na stawie pływają gęsi nie sobie z niczego nierobiące. Wiadomo — gęsi.

Jest tak, jak jest. Jest tak, jak być musi. Za wszystko na tym świecie zapłacić trzeba. Obywatel kresowy wie, że dużo jeszcze ciężkich lat go czeka — czeka jego dzieci i wnuki. To jego wkład do skarbcza odzyskanej Niepodległej.

Oblicza bez fanfaronady i patosu:

— Cena, owszem, wysoka. Ale przecież nie za wysoka.

Jadwiga Kiepnarska.



Pawilon Annamu.

ZAMORSKIE SIŁY

Pierwsza wystawa kolonialna odbyła się w roku 1493 w Barcelonie, gdy Krzysztof Kolumb wraz z holdem złożył Izabelli Katolickiej przywiezione z podróży bogate dary: kartofle, tytoń, dwie papugi i sześciu dzikusów (między nimi była zapewne Józefina Baker tamtych czasów). Przywiózł też korzenie; średniowieczne jadlo mdłe było i bez wyraźnego charakteru; europejskie, szczególnie hiszpańskie podniebienie przyzwyczało się do ostrych smaków i gust ten naszemu przekazało pokoleniu. A także wówczas zatruto nas kofeiną i kodeiną; Europie, która żyła zdrowa, zadowolona z życia, dano możliwość ucieczki od życia...

Następna wystawa kolonialna odbyła się w wieku XVI-ym, w Rouen; już nie przypadkowa, lecz świadoma swych celów: królestwo francuskie zapragnęło się pochlubić nowonabytymi siłami zamorskimi.

Francja w wieku XIX-ym, razej w jego drugiej połowie, kiedy to chciała odwrócić oczy Europy od wojen, rozpoczęła urządzać „expozycje powszechne”, z których pierwsza odbyła się w 1855 roku, a następna w wilgę upadku Napoleona III, w roku 1867-ym; tradycje te podtrzymała Trzecia Rzeczpospolita; znaczą się one na planie Paryża wielkimi budynkami, kronika ich pozostała w postaci Trocadero i wieży Eiffla, wówczas rewolucji w dziedzinie architektury.

Po światowej wojnie państwa europejskie kolejno czynią bilans swych kolonialnych wpływów, wrogie i przyjazne sąsiady wzywając do konkursu: Wemblay w 1925, Barcelona w 1929, Gandawa w 1930... Francja próbę generalną przed wielką imprezą paryską odbyła sześć lat temu, w Marsylii; obecnie do rewji zaprosiła Metropolje. Stały do apelu wszystkie, prócz Anglii, która nie zbudowała swego pawilonu — mówiąc: „powtarzać się nie lubię” — jedynie w Cité des Informations zajęła kilka standów, udzielając tam bardziej dokładnych, niż inne państwa, wiadomości o swych dalekich posiadłościach.

Od samego początku stosunków Metropolij z kolonjami nastąpił handel zamienny: za rzeczy, zbędne w Europie, brano rzeczy bezcenne w innym świecie, o których wadze tamte ludy nie były jeszcze przez nas poinformowane. Kolumb rozdawał paciorki, którymi gardziła najbiedniejsza hiszpanka, imć pan Beniowski, szlachcic polski i węgierski, zdobywał sobie serca Madagaskarczyków przywiezionymi z Paryża fanfruluszkami.

Na dalekie wyspy odstawiano kobiety złego prowadzenia; pomimo placzu kawalera de Grioux, Manon Lescaut na Madagaskarze za grzechy pokutować musiała, tam zresztą zbudzić się w jej sercu mogły nowe uczucia, albowiem od Kolumba począwszy, poprzez Jana Jakóba Russo, nieomal do dzisiejszych czasów — z różnymi przyływami i odpływami—pa-



Pawilon Holandji (przed pożarem).

muje przekonanie, że ludzie natury lepsi są od ludzi cywilizowanych. Autor Pawła i Wirginji, sentymentalnej sielanki, nawet w oczach budzącego się romantyzmu, nie miał odwagi młodziutkich swych bohaterów pokazać na tle Europy, wybrał więc wyspę, jedną z tych wysp Pacyfiku, która rości pretensję do miana ziemskiego raj.

Odkrycie nowych światów musiało przynieść za sobą zmianę naszego — dla taniej bawełny szkoda rąk ludzkich, które mogły pruć wełnę i len. Wobec tego należało się uciec do wynalazku maszyn — dzisiejszy kapitalistyczny ustrój stąd się wywodzi — tembardziej, że się miało węgiel i żelazo. Pozostaliśmy, dotąd, szczytami ducha ludzkiego — do całej Europy zastosuję określenie, jakie sobie daje Collège de France — ale zarazem widzimy, iż niosąc do innych części świata nasz ustrój kapitalistyczny i nasze wyżyny umysłowe, dążymy do zrównania ich ze sobą. Stajemy się centrum, wokoło którego skupiają się zamorskie siły.

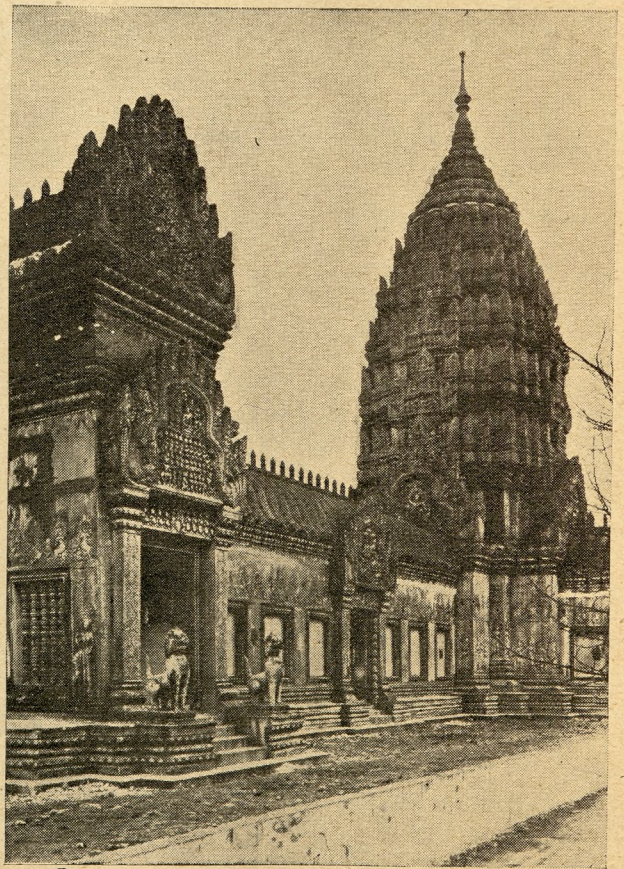
Czy nie obróca się one przeciw nam? Nie mówię: orężnie — ale bez walki zwyciężają młodą swego bogactwa. Kto wie, czy tego rodzaju pokazy, jak wystawa kolonialna, nie przyczyniają się do zbliżenia tej chwili? Dziś coraz bardziej my nimi żyjemy; bliski jest czas, że oni bez nas żyć będą mogli. Zapewne żeby temu zapobiec, Holandja nazywa swe kolonie integralną częścią państwa i jako takie je traktuje. Z opieki nad zdobytymi ziemiami ona właśnie zdała egzamin z odznaczeniem. Nietylko że najpiękniejszy zbudowała pawilon i najlepiej bogactwa przedstawiła, ale że po katastrofie czuła się tylko przez 24 g. pobita i nowy gmach wznosi.

Obecnie Francja posiada 40 milionów ludności w Europie, a 60 mil. w kolonjach. Jest więc potęgą,

której siły, raczej za morzem ulokowane, wchodzą już w jej europejskie życie. Miasta portowe i Paryż coraz więcej pokazują czarnych, czy kolorowych twarzy, jeszcze przeważnie żołnierzy z wojsk kolonialnych, ale też widuje się niebiałych urzędników, kupców i służące, widuje się dzieci ciemne z małżeństw mieszanych. Gdy Ameryka, dlatego, że murzyni z niewoli się uwolnili, wrogo się odnosi do innej rasy, nie chce z jej przedstawicielami jeździć w jednym wagonie (o ile to nie jest murzyn, przynoszący pleć, gdy zimno, a wodę z lodem, gdy gorąco), nie ścierpi ich obecności w tem samym biurze, nie wejdzie do tej samej restauracji, a o wspólnem towarzystwie w salonie obecnie wolnych ludzi, ale dawnych panów i dawnych niewolników, niema mowy — Francja pod tym względem jest bardzo tolerancyjna.

Zapewne wynikło to z tego, iż w armji kolonialnej musiano dać oficerów-tubylców, i jeszcze dotąd mundur stanowi najlepszą towarzyską legitymację. Wskutek łatwego zbliżenia wiemy, że Dahomejczyk może być równie miły, a jest z pewnością lepiej wychowany i bardziej grzeczny od rodowitego paryżanina; że Annamita jest bardziej interesujący, aniżeli przeciętny bourgeois; że wyznawcy Proroka chodzą po świecie z poezją na ustach i że dobrze się dzieje, skoro wyludniającej się Francji przybywa sukurs, tembardziej, iż zamorskie siły, zapelniające Europę, przeważnie składają się z mężczyzn.

Kwestja podobania się jest niezależna od narodowości, a nawet rasy, teoretyczna zaś kwestja piękna zmienia się w różnych epokach. Twarze azjatyckie i afrykańskie nie mówią nam nic, skoro nie jesteśmy obeznani z ich wyrazem, nie możemy między nimi uchwycić różnicy; dla nich również nasze są jednakie.



Indochiny.

Jednak przy zbliżeniu, wpatrzeniu się, oddzielamy cechy charakterystyczne od przypadkowych i pojedyncze fizjonomie rysują się wyraźnie, a indywidualności występują na jaw.

Z pewnością dopomógł do tego kinematograf. Pozwala on patrzeć w ludzkie twarze, jak w życiu patrzeć nie wolno. Po oswojeniu się z — innością, przestaje ona śmieszyć, a zaczyna zajmować. „Żółty kapitan” zdobył wiele europejskich sympatyj dla rasy mongolskiej, zaś bohater Hallelujach poszedł dalej i białe serduszka płomieniem czarnej miłości zapalił. Widzi się teraz, że serce obszerne jest, jak świat!

Ponieważ doskonałość nie z tego jest świata, wystawa ma wiele braków, ale ważne to, czy w zakresie możliwości spełniła swe zadanie. Trzeba brać ją z trzech punktów: estetycznego, dydaktycznego i praktycznego. Jeśli chodzi o pawilony, to wzorują się one na przykładach kolonialnych, część metropolitalna zaś, oparta na architekturze europejskiej, a raczej światowej, w wielkiej mierze przyswoiła sobie budownictwo amerykańskie, jego linje i materiały; uczyniła to o wiele śmielej, niż przed paru laty wystawa Sztuki Dekoracyjnej, ale francuski smak złagodził formy, do których oko nasze jeszcze nie przywykło.

Piękno wystawy polega na wrażeniu całości, na harmonji i ładzie, a nawet bardzo na — higjenie i porządku. Przez kilka tygodni tłumaczyliśmy sobie najzyczliwiej w świecie, że wiele braków złożyć trzeba na karb tego, iż wystawa nie została ukończona na czas i budować się musiała — już po otwarciu; dziś dwa miesiące dziela nas od pierwotnego terminu, a nieład i brud, śmiecie na ulicach, brak kosztów na papiery czynią z tego międzynarodowego popisu podparyską foirę.

Do złego wrażenia niemało się też przyczynia nadmierna ilość kiosków z sandwiczami — gdy pawilony naśladowują egzotyczne oryginały, kioski w zdrobnieniu i przesadzie naśladowują pawilony. Jest ich tyle, że ciasno staje się na olbrzymiej przestrzeni i można zabłądzić między Damoy a Potinem, Byrrhem i Amieux, nie dotarłszy do Jawy, Madagaskaru, czy Guyany, których się szukało.

Światła są bezsprzecznie piękne; naśladowują kwiaty i fotosu, inne — stylizowane liście palm, lub stylizowane puklerze afrykańskie. Na sadzawce dwie wielkie fontanny co wieczór grają wodami — rzadko kiedy sztuczny

wodotrysk tak wysoko się wznosi i tak potem nisko spada, wspaniałym ruchem w tył fale odrzucając.

Jedna fontanna zawsze ma kolor naturalny, druga zaś zmienia swe barwy, cała z dziwnych piór — wodny Music hall. Zapewne obie są bardzo piękne, lecz gdy widziało się piękność wód w Barcelonie, wydaje się to zabawą — gdy tamto było prawdą... Każda francuska manifestacja artystyczna obliczona jest na podobanie się tłumowi; każda zaś artystyczna manifestacja hiszpańska pewna jest, że się wszystkim podobać musi. Stąd — tam powaga, tu — kokieteria.

Na wystawie paryskiej wiele nauczyć się można. Im więcej ją oglądamy, tem bardziej budzi ciekawość — horyzont się rozszerza; przekraczając granice europejskie, widzi się dalekość świata, dotąd niedostępnego naszej krótkowzroczności. Można to i owo zarzucić wykonaniu, ale, zapomniawszy o niedoborach, przyglądamy się pawilonom, czytamy w nich coraz nowe i coraz ciekawsze plastyczne rozdziały — encyklopedji kuli ziemskiej.

Cel praktyczny: pokazanie, że jest szerokie pole do pracy i że, zamiast dusić się w Europie, szukać należy nowych terenów. Że choć kolonje dużo już dały, niewyzyskane ich bogactwa czekają na nowych eksploratorów. Że zły klimat można zwyciężyć nauką, a przestrzenie skrócić nowymi środkami komunikacji.

W dwojaki sposób nawołuje Francja: do kolonij! Stara się pokazać lepszą przyszłość, jaka tam czekać może, a następnie składa hołd tym, którzy poza granicami Europy szerzyli cywilizację. Na wielkim postumencie, który wita każdego wchodzącego Złotą Bramą, wypisane są imiona odkrywców — wszystkich narodów i wszystkich stuleci: w środku głównej alei wzniesiono pomnik, poświęcony Forces d'Outremer; na wieży przeszło 80 metrowej wysokości powiewa w

dnie święta trójkolorowy sztandar. Co wieczór, obozujące tu wojska kolonialne salutują, na znak, że uznają panowanie, czy protektorat Francji, Metropolji, niosącej pokój zwanionym plemionom, opiekę uciśnionym, dobrobyt materialny, kulturę i naukę.

Wydaje się jednak, iż największym triumfem Europy nad wiekowymi cywilizacjami są elektryczne ognie, które szarą barwę starożytnej świątyni Indochińskiej dowolnie zamieniają na szczerozłotą, królewsko-purpurową i niebem błękitną.
Aura Wyleżyńska.



Pawilon Marokka.

WSPOMNIENIE Z OBOZU

Spokojna i cicha zazwyczaj dolina rzeki Olzy, położona opodal wsi Istebnej w Beskidzie Zachodnim, zawrzała ruchem i gwarem.

Jak grzyby po deszczu, wyrastają niewielkie namioty, stawiane, zdi się, przez gnomy leśne — tak małe i niepozorne są szare postacie, uwijające się po polanie.

Zdaleka widnieje napis, głoszący przechodniom, że jest to terytorjum obozu Przystosowania Wojskowego Kobiet.

Nikt z przechodzących nie mija go obojętnie. Ludność miejscowa z pewną rezerwą, lecz większą jeszcze ciekawością ogląda te „dziwne dziewczyny, co same sobie budują domy“; fachowcy w sztuce obozowania podziwiają doskonale wyekwipowanie oddziału i zazdroszczą wyjątkowo wygodnego terenu; przygodni turyści informują się o celu i pracach obozu.

I ja tam byłam... a co widziałam i słyszałam, chcę w księgi umieścić.

Obóz w Istebnej jest trzecim stałym terenem obozów letnich Organizacji Przystosowania Kobiet do Obrony Kraju. Powstał on w roku bieżącym dzięki pomocy, udzielonej przez Województwo Śląskie i miejscowe władze wojskowe.

Prócz rozległej polany, nadającej się na obozowanie dla 500 do 400 osób, obóz posiada budynki administracyjne, sztuczną pływalnię oraz boiska sportowe.

Założenie tak zagospodarowanego obozu na terenie województwa Śląskiego jest ważnym momentem propagandowym pracy przystosowania wojskowego kobiet, to też położony przez organizację wysiłek nagrodzony został uroczystą chwilą poświęcenia obozu, dokonanego w obecności pana Prezydenta Rzeczypospolitej, przedstawicieli władz wojskowych i administracyjnych oraz licznie zebranych gości i sympatyków P. W. K.

Program zajęć obozowych uwzględnia przede wszystkim te elementy, które wyrobić mogą w dziewczętach zdrowie fizyczne i moralne oraz przyzwyczaić je do pracy w zwartym zespole, w ramach dyscypliny i karności.

Wykładów teoretycznych, po za kilkoma godzinami pogadanek na temat celu i zadań P. W. K., nie prowadzi się w obozie; natomiast codziennie rano spotkać można małe oddziały, wyruszające pod komendą instruktorek, krętymi ścieżkami leśnymi w nieznanym terenie.



Obóz w Istebnej: z manierkami przy kotle.

Krótkie te wycieczki, stosowane prawie codziennie, prócz wycwiczenia w „sztuce chodzenia“, są jednocześnie połączone z ćwiczeniami z zakresu czytania mapy i orjentowania się w terenie, udzielania pomocy w nagłych wypadkach, przenoszenia chorych i zranionych, użycia maski gazowej, ukrywania się w terenie, zachowania kierunku, umiejętności odnalezienia najkrótszej drogi.

Niejedną z uczestniczek, przyzwyczajoną w szkole do piątek z geografji i higieny, przechodziła ciężkie chwile wśród zawilich ścieżek Beskidzkich.

Na wspólnych gawędach wieczornych, przy jasno i wesoło płonącym ognisku spotykałam się często ze zdaniem dziewcząt, że nie sądziły, jak wiele „można się nauczyć — nie ucząc się“.

Ta bezpośredniość wrażeń obozowych, to ich łatwe przenikanie do duszy młodzieży są najlepszą rękojmią, że dobrze prowadzone obozy mogą stać się ważnym czynnikiem wychowawczym i zapewnić państwu zastępy dzielnych pracowniczek na polu społecznym i wojskowym.

Obozy P. W. K., organizowane przeważnie dla dziewcząt młodszych, nie obejmują przeszkolenia fachowego w dziedzinie wojskowych służb pomocniczych, przewidzianych, jako przyszłe placówki pracy wojskowej kobiet; pozostawiają to na miesiące zimowe.

Kończąc te krótkie uwagi o obozie, raz jeszcze podkreślić chcę jego cel zasadniczy, a mianowicie: wyrobienie w dziewczętach zaradności, samowystarczalności, odwagi, karności, koleżeństwa.

O ile obóz sprostał swemu zadaniu — przyszłość okaże.

A. Podhorska.



Rozbijanie namiotów.

MODY I ROBOTY



523

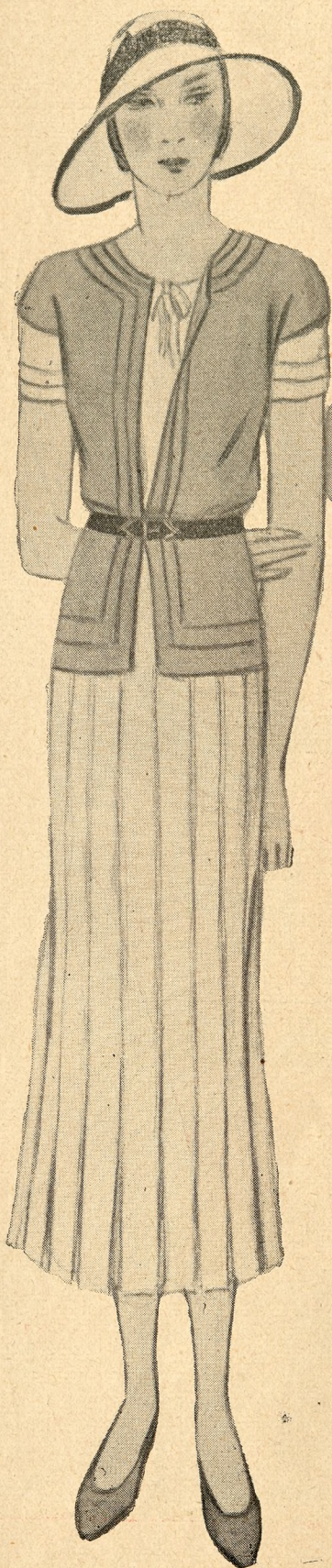
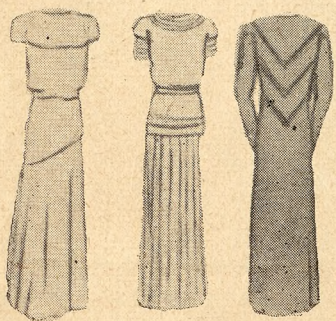
524

523. Sukienka z woalu gładkiego i w kratę — pelerynka podbita ponsowym.
524. Suknia z żakietem z płótna jedwabnego gładkiego i deseniowego.

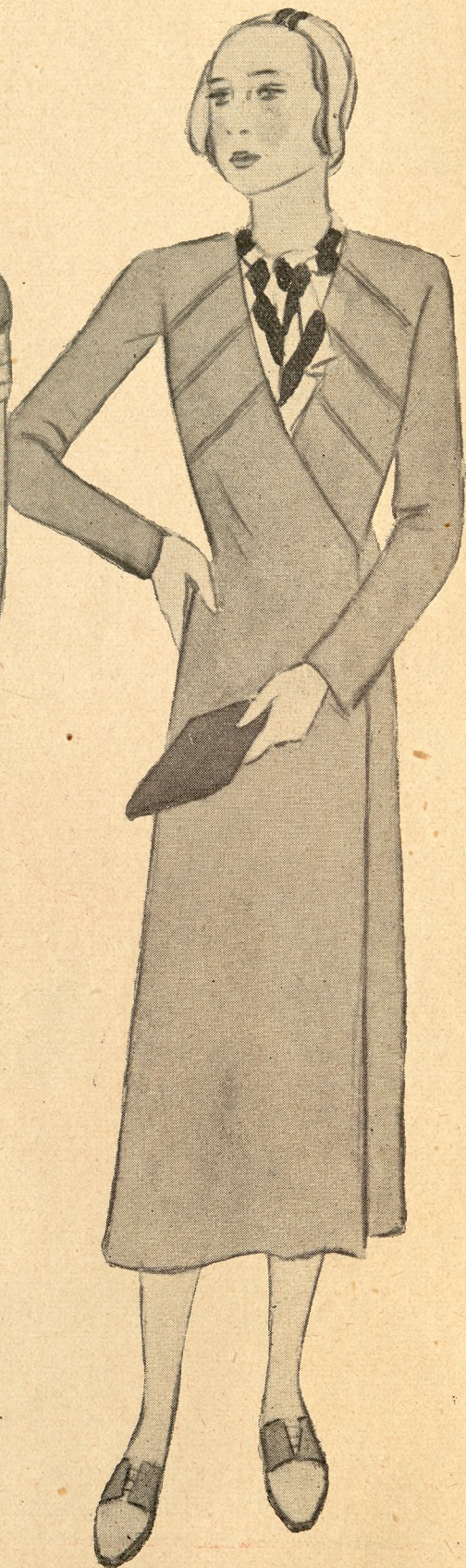
525. Suknia z szyfonu, lub żorżety deseniowej.
 526. Biała spódnica z lekkiej wlny — fałdy od góry zastępowane — kamizelka z turkusowego sukienka.
 527. Palto z granatowej wlny — góra ozdobiona podwójnymi małymi zakładeczkami.



525

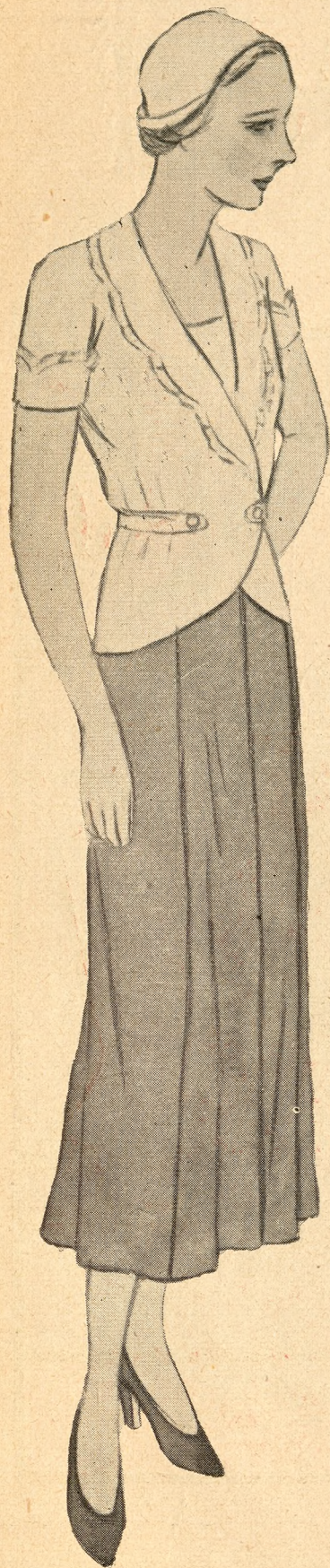


526



527

528. Bronzowa spódnica i kamizelka-zakieciak z białej flory.
 529. Kostjum z wełny granatowej.
 550. Suknia z lekkiej wełny — stanik przybrany małymi zakładeczkami.



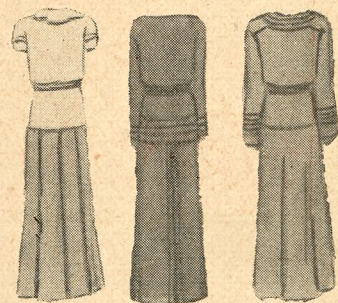
528



529



550





551.

552

551. Kostjum bronzowy z imitacji zamszu.
552. Spódnica jedwabna i długa biała bluza z crêpe-satin, ozdobiona haftem, podług wzoru, podanego na str. 5-ej.

-  *ponsonowy*
-  *piaskowy*
-  *bronzowy*
-  *zielony*



TO, CO POD SPODEM

To, co się nosi pod spodem, pod sukniemi letniemi, jest sprawą zupełnie pierwszorzędnej wagi. Bowiem letnie sukienki — nietylko te z szyfonu, markizety i żorżety jedwabnej, odsłaniające zdradliwie wszystko, co jest pod nimi, ale i te, pozornie solidniejsze, z żorżety wełnianej i woalu, mają zdecydowaną skłonność do „przeświecania“.

Słowem, latem nie wystarcza pod suknią zwykła bielizna (nie biała), czyli combinaison i reformy, czy figi. Latem niezbędny jest, tak przez warszawskie krawcowe zwany: „spód“—dosłowne tłumaczenie francuskiego dessous. Czyż to nie paradoksalne, żeby latem trzeba było nosić więcej sztuk bielizny, niż w zimie?! A jednak, tak jest.

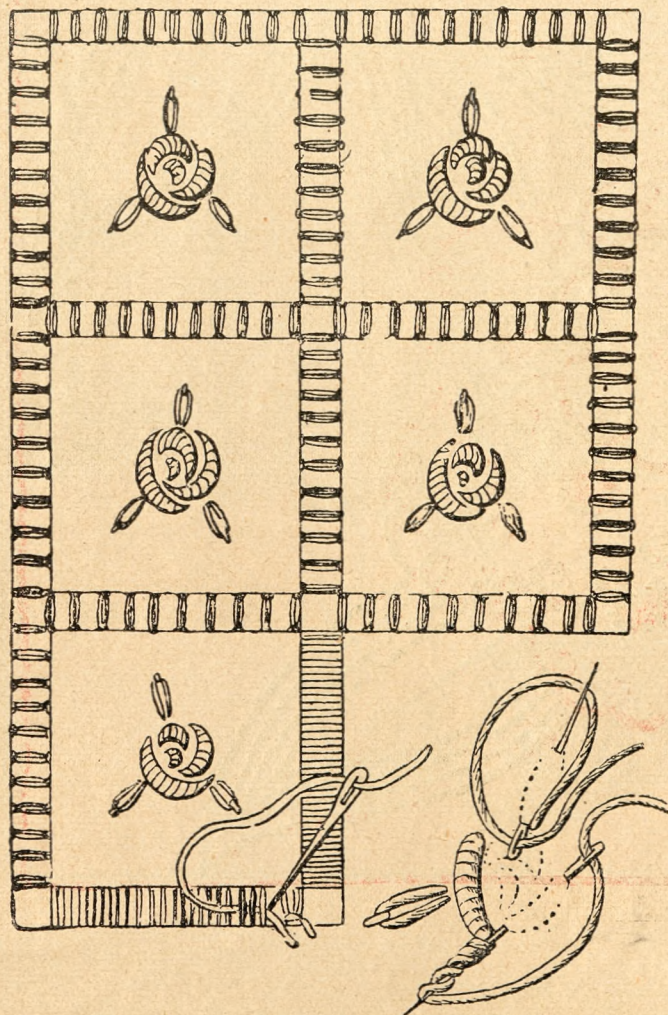
W ostateczności możnaby zrezygnować z koszulki, czy combinaison'u. Odrazu, bezpośrednio na staniczek, pas do podwiązek i figi nosić ów spód, zrobiony ze ścisłego jedwabiu do prania (ale nie sztucznego), lub mięsistego meteoru (chodzi przecież o to, by nie przeświecało). Niektóre z pań przez oszczędność używają na spody połyskliwych satynek bawełnianych. Jest to oszczędność, przy obecnem potaniu jedwabi, bardzo nieznaczna, a różnica w noszeniu ogromna. Pozornie gładka powierzchnia satyny w istocie aż się jeży od mikroskopijnych niteczek, o które zahacza się tkanina sukni i nie może obsuwać się tak gładko, jak po śliskim jedwabiu, a marszczy się szpetnie w poprzeczne „kielbasy“.

Pod długie i sute sukienki z materiałów powiewnych nosi się spody krótsze (ale nie o wiele), niż suknia. Może to być dziesięć, no, piętnaście centymetrów; ale w żadnym wypadku, pod suknią, sięgającą kostek, nie można nosić spodu, niedochodzącego do kolan.

Idealem (niestety, ideały są zawsze nieziszczalne!) byłoby mieć do każdej sukni oddzielny spód, jej własny, do niej przystosowany kształtem dekoltu, wykończeniem szyi (pod żorżetowe suknie wykończy się spody pasem żorżety pojedynczej lub podwójnej). Jednakże, posiadając nawet tylko dwa spody—jeden, przypuśćmy, bladło różowy lub ziocisty, drugi w jakimś ciemnym kolorze—możemy tak manewrować, żeby zawsze trafić właściwie. Tembardziej, że tolerancyjna Pani Moda tegoletnia całkiem łaskawem okiem na podobne kombinacje spogląda.

Jeden z najpiękniejszych modeli, kreowanych przez mistrza Patou, zwany „Prima Vera“, był uszyty z jasno-zielonego szyfonu w wielobarwne, polne kwiatki, i noszony na spodzie z żorżety morelowej. Był prześlizny. *Well.*

BIELIZNA OZDOBIONA MEREŻKĄ I HAFTEM

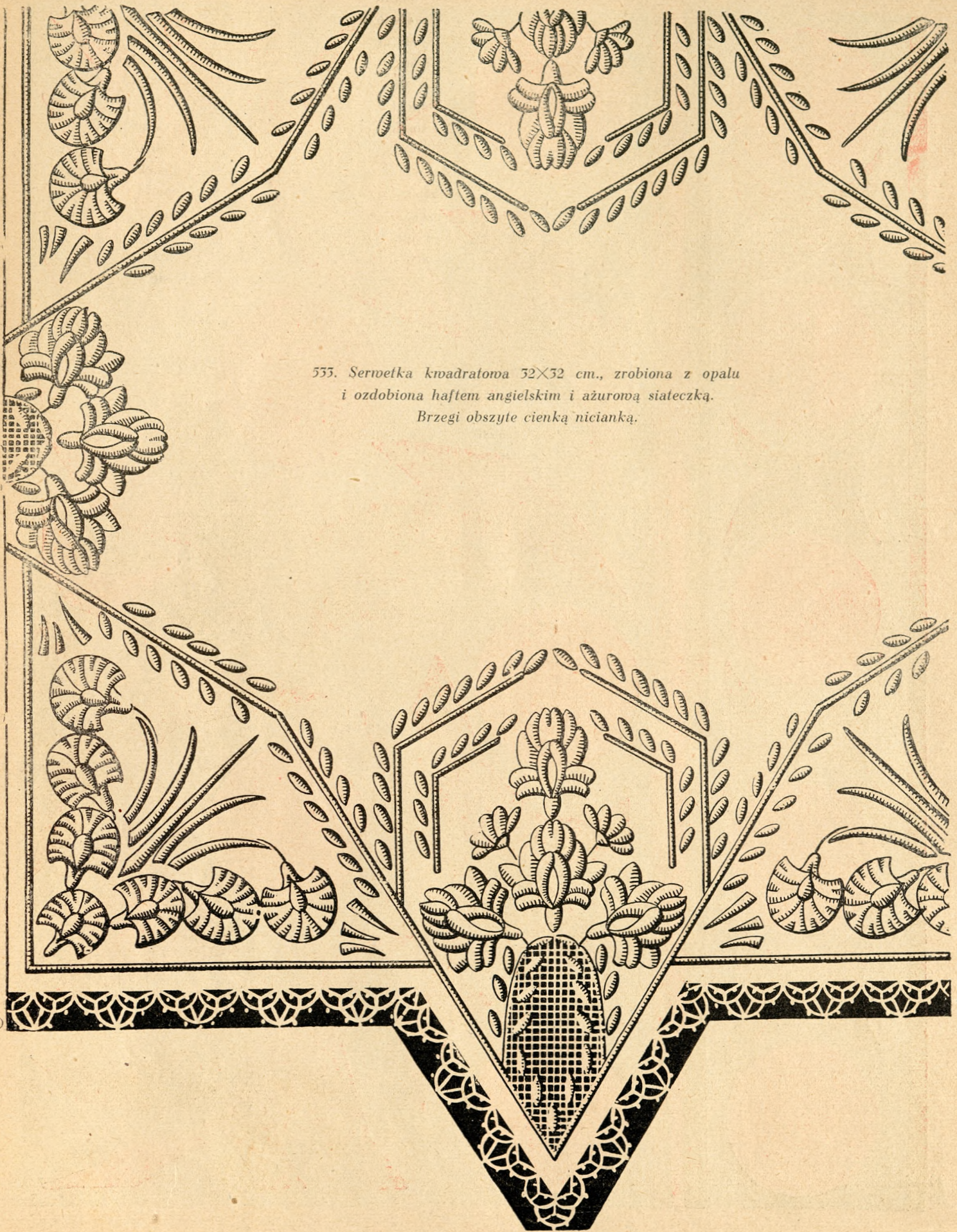


Nietrudny, a bardzo efektowny sposób ozdobienia bielizny podajemy poniżej.

Na prawo nocna koszula, kombinacja, koszulka i majtki, a na lewo sposób rozłożenia deseni i wykonania haftu.

Mereżkę można obrobić kolorem odpowiednim do koloru różyczek, lub listków.





555. Serwetka kwadratowa 52×52 cm., zrobiona z opalu
i ozdobiona haftem angielskim i ażurową siateczką.
Brzegi obszyte cienką nicianką.

534. Zakonczenie szalka — tamponowanie na zielonym crepe de chine'ie — wielkość naturalna.



21.

Sc. 18.



Osada Warszawskiego Klubu Wioślarek, która zajęła pierwsze miejsce na regatach w Bydgoszczy i odniosła dwukrotne zwycięstwo nad Angielkami na Tamizie.

CO SIĘ DZIEJE W SPORCIE KOBIECYM

Lekka atletyka kobieca obchodziła w tym roku swój jubileusz. Oto poraz dziesiąty zorganizowano w Warszawie doroczne mistrzostwa kobiece w lekkiej atletyce. Duża liczba zawodniczek, reprezentująca różne miasta polskie, była najlepszym dowodem, jak bardzo rozwinął się ten sport w ciągu dziesięciu lat. A jednak, pomimo tak dużego zespołu startujących, zawody nie dostarczyły większych emocyj widzom, żadnym rekordów.

Kiedy sport nasz był jeszcze bardzo młody, wyniki zawodniczek poprawiały się z dnia na dzień; nie było prawie zawodów, na których nie ustalonyby nowego rekordu. Dziś, kiedy rekordy polskie są już prawdopodobnie dość bliskie granicy możliwości współczesnych organizmów kobiecych, osiągnięcie lepszych wyników jest rzeczą trudną. Trzeba w dodatku pamiętać, że cztery rekordy światowe należą do Polek: Walasiewiczówna jest najszybszą kobietą świata na 60, 100 i 200 metrów, a pani Konopacka-Matuszewska jest dotąd, według wyrażenia sportowych, „klasą sama dla siebie“ w rzucie dyskiem.

W biegu przez płotki i w rzucie kulą mamy wyniki, bliskie światowych rekordów, natomiast pozostajemy daleko w tyle w rzucie oszczepem i w skokach. I tu należy czekać poprawy, ale, niestety, tegoroczne mistrzostwa jej nie przyniosły. Widocznie rasa polska nie ma talentu do skoków, bo i nasi mężczyźni stoją w tych konkurencjach znacznie poniżej poziomu całego świata. Dlaczego tak jest — pozostaje dotąd zagadką, ale nie ulega wątpliwości, że skoki — to nasza najsłabsza strona. Rzut oszczepem naszych pań, w stosunku do wspaniałych wyników niemieck, pozostaje ciągle w tyle — może nie umiemy uchwycić sekretu właściwego stylu?

Jedynym pobiciem dotychczasowych wyników, nowym rekordem polskim, był czas, osiągnięty przez nasze ślączki w sztafecie — 4 razy 100 metrów. Trzeba zresztą przyznać, że

wszystkie drużyny osiągnęły tak wielki postęp w zmianie pałeczki (czego np. nasze kluby męskie jeszcze nie umieją), że możemy być z tego dumne.

Indywidualnie należy wyróżnić nowowschodzącą na terenie sportowym gwiazdę — Manteufflową z Ak. Zw. Sport., która osiągnęła pierwsze miejsca w skoku wzwyż i w biegach krótkich, oraz fenomenalną Konopacką, której rzut dyskiem bliski był jej olimpijskiego wyniku. Bodajże największy triumf święciła tego dnia Woynarowska z Ak. Zw. Sport., która obchodziła swój jubileusz, gdyż poraz dziesiąty stawała do mistrzostw Polski. Dziesięć lat dobrych wyników w lekkiej atletyce — to naprawdę zjawisko fenomenalne. A Woynarowska jest ofiarną zawodniczką i, choć utraciła już pierwsze miejsca, to przecież jeszcze zdobywa punkty dla swego klubu.

W tej walce o punkty (punktacja dotyczy sześciu pierwszych miejsc w każdej konkurencji) zwyciężył bezapelacyjnie Ak. Zw. Sport. Warszawa, zdobywając w ten sposób po pięciu latach walki, rzeźbę „Dianę“, ufundowaną przed pięcioma laty przez Państw. Urząd W. F. i P. W.

W tegorocznych regatach wioślarskich, które, jak zwykle, odbywały się w Brdyjściu pod Bydgoszczą, startowały czwórki kobiece. Pierwsze miejsce zdobyła osada zasłużonego Warszawskiego Klubu Wioślarek, bijąc wioślarki bydgoskie. Bezpośrednio po zawodach ta sama osada wyjechała do Anglii, gdzie odniosła dwukrotne świetne zwycięstwo nad Angielkami podczas regat na Tamizie.

O szczegółach tego zwycięstwa obszerniej w następnym numerze.

W. P.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

OD RODACZEK Z AMERYKI.

Związek Polek w Ameryce, wielka organizacja kobieca, licząca obecnie 60 tysięcy członkiń dorosłych i 12 tysięcy młodzi, wydająca własne pismo: „Głos Polek”, urządza we wrześniu r. b. zjazd w Waszyngtonie.

Zjazdy takie, zwane w organizacji sejmami, odbywają się stale co cztery lata; program ich obejmuje najżywotniejsze sprawy związku i wychodźstwa polskiego w Ameryce. Na zjeździe tym ma być jednak ponadto poruszona sprawa urzędzenia Kongresu kobiet polskich w Chicago w r. 1955, z okazji wystawy wszechświatowej w tem mieście. Członkinie Związku spodziewają się przybycia na ten kongres rodaczek z Polski.

O decyzjach, zapadłych w tym względzie i uchwałach tegorocznego Sejmu Związku, podamy we właściwym czasie obszernie sprawozdanie, gdyż działalność naszych rodaczek w Ameryce obchodzi bardzo żywo ogół kobiet polskich.

NOWE ODZNACZENIE MARJI CURIE.

Na odbywającym się obecnie w Paryżu Kongresie radjologów obrano honorową przewodniczącą Curie-Skłodowską. Podczas obrad Ameryka ofiarowała naszej rodaczce wielki złoty medal kolegium radjologów, najwyższe w tym zakresie odznaczenie, jakie przyznaje Ameryka.

DWIĘ KSIĘŻNICZKI RUMUŃSKIE.

Można śmiało twierdzić, że na królowny przyszły trudne czasy.

Córki i siostry dynastycznych, a zwłaszcza panujących



Młoda para.



Eks-królowa Helena (na prawo) z siostrą.

rodzin nie mają wielkiej łatwości wyboru, królów bowiem jest coraz mniej.

Ze jednak niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, więc i tu brak koronowanych pretendentów wywołuje objaw, że coraz częściej zawierane są w sferach królewskich małżeństwa z miłości. Zwraca się jeszcze uwagę na równość rodową, ale nie wchodzi już tak dalece w grę rachuby czysto dyplomatyczne; królowny zaślubiają członków rodzin ongi panujących, przeważnie jednak kierują się wzajemną sympatją. Takie jest podobno ostatnie małżeństwo na dworze rumuńskim. Księżniczka Ileana i książę Antoni Habsburg pędzić będą życie zwykłych, zamożnych obywateli w dobrach pana młodego na zamku Aschberg w Bawarii.

Sama ceremonia ślubu odbyła się jednak z królewskim przepychem, w rezydencji królewskiej w Sinaia. Pannę młodą prowadził do ołtarza brat, Król Karol, pana młodego Królowa-matka Marja rumuńska. Jednakże i w tej ceremonii widać wpływ, bardzo sympatyczny, nowych czasów. Księżniczka Ileana była zapaloną harcerką i opiekunką wszystkich związków młodzieży rumuńskiej, to też, podczas ślubu tren jej sukni był niesiony, nie, jak zwykle dawniej bywało, przez małych członków rodziny królewskiej, lecz przez dwie harcerki i dwóch harcerzy.

Drugim znamieniem czasu, już niezmiernie aktualnym, w związku z dyskutowaniem obecnie tak szeroko prawem obywatelstwa mężatek, stało się oświadczenie księżniczki, złożone

oficjalnie przed ceremonią ślubu, że zachowuje obywatelstwo rumuńskie.

W tym samym czasie, kiedy jedna z członkiń domu rumuńskiego zawierała małżeństwo, drugi związek rozerwał się chyba ostatecznie. Żona króla Karola, królowa Helena opuściła Rumunię i przybyła do Londynu. W tym związku psuło się coś oddawna. Podczas wygnania Karola i pobytu jego zagranicą, królowa Helena mieszkała w Bukareszcie, opiekując się synem, panującym wówczas małoletnim królem Michałem. Po powrocie Karola do Rumunii i objęciu przez niego tronu, zdawało się, że zgodne pożycie małżonków zacznie się nanowo, tak przynajmniej głosiły wieści dworskie. Wprędce jednak fakty zaprzeczyły temu, królowa Helena wyjechała do jakiegoś ustronnego zameczku, w którym, jak znów mówiono, była napół więźniem, wreszcie jednak odzyskała swobodę i, jako osoba prywatna, przyjechała do Londynu, gdzie przebywa z siostrą, księżniczką Ireną grecką. Ex-królowa woli być zwykłą śmiertelniczką swobodną, niż niekochaną, zaniedbaną żoną panującego.

PANI PREZYDENTOWA.

Po okresie wstępnego zainteresowania się, zwykłych opinii, komentarzy naokoło osoby nowo obranego prezydenta Republiki francuskiej, Doumer'a, przysłała teraz kolej na prezydentową. Pod tym względem Paryż miał długie ferie. Poprzedni prezydent był „un garçon“ (jak wiadomo, francuz, choćby sześćdziesięcioletni, będzie zawsze tak nazywany, o ile nie ma żony). A Paryż tęsknił do „kobiecej ręki“ w pałacu Elizejskim tak dalece, że aż p. Maurycy de Valeffe projektował, żeby wogóle na fotel prezydenta wybrać niewiastę! Swatano i pana prezydenta gorliwie, ale bez skutku do czasu, pan Doumergue bowiem ze swym historycznym, wesółym uśmiechem, spłatał ukochanym paryżanom figla i ożenił się... na parę dni przed ukończeniem swego urzędowania.

Osoba prezydentowej zaciekawiała zawsze, i nie dziwnego: królowa, z urzędu, i z rodu od wieków panującego jest zawsze pewnym szablonem; małżonka prezydenta wnosi na swoje stanowisko własne, nowe wartości zwykłego życia. Początkowo małżonki prezydentów nie nosiły tytułu męża i nie miały żadnych praw, ani obowiązków reprezentacyjnych. Było to w czasach, gdy młoda republika sama tych obowiązków nie miała, monarchowie bowiem nie składali jej wizyt. Ale czasy się zmieniły, wypadło więc zmienić i ceremoniał i dziś żona prezydenta reprezentuje Francję obok męża, podczas wielkich przyjęć i uroczystości.

Prezydentowych było wiele i były różne: ambitna, dostojna pani Mac-Mahon, która ożeniła syna z księżniczką orleańską; oszczędna pani Thiers, obok zajęć gospodarskich, najgorliwsza towarzyszka męża w pracy politycznej i sprawach wydania jego pamiętników; miła i zacna, niesłusznie wielokrotnie wyśmiana za drobnomieszczańskie nawyki, jak chodzenie samej na targ, pani Grevy; pełna wdzięku, „niewyczerpana w czynieniu dobra“, pani Carnot, której mąż padł ofiarą anarchistycznego zamachu; pani Poincaré, która przed wojną była duszą świetnego salonu literacko artystycznego, a w czasie walk łągodziła niedole wojenne. Były jeszcze inne prezydentowe, które wskutek zmiennych konjunktur politycznych krótko zajmowały swe wysokie stanowiska.

Jaka będzie pani Doumer?

Dotychczas wiadomo, że jest to osoba niezwykle taktowna, uprzejma i dobra. Na pierwszym planie stoją u niej cnoty ro-

dzinne i domowe. Francja dziś czei w niej przedewszystkiem matkę, która oddała ojczyźnie czterech synów.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Zabiera się na to, że „tak zwane“ bankructwo Niemiec może wywołać zupełnie nieoczekiwane skutki w europejskim „porządku“.

Popsuć ono może mianowicie dobre stosunki francusko-angielskie. Innemi słowy, rozerwać, albo poważnie nadszczerbić przymierze z czasów wielkiej wojny.

Dziwna rzecz, niemniej jednak tak to wygląda.

Gdybyśmy to sobie chcieli przetransponować na stosunki między ludźmi prywatnymi, czy sytuacja podobna byłaby możliwa?

Wyobraźmy sobie dwie serdeczne przyjaciółki, panią A. i F. Żyją one w harmonji i nawet od czasu do czasu bogata pani F. ratuje panią A. w trudniejszych momentach jakąś pożyczką. Pewnego dnia pani A. zwraca się do przyjaciółki o pomoc dla trzeciej, już nie przyjaciółki, ale naogół nieżyczliwej, kłótlivej, często szkodzącej i nie lubianej znajomej, pani N.

Ależ, powiedzieć można: to bardzo szlachetnie, płacić chlebem za kamień.

Zapewne, tylko, kto ma płacić? Pani A. nie może, bo nie ma na to, pani F. zaś mówi: dobrze, ale proszę, aby pani N. obiecała, że nie będzie nam szkodziła i że pozwoli, abyśmy weszły od czasu do czasu w to, jaki użytek z pożyczonych przezemnie pieniędzy. Jeżeli się na to zgodzi, to pożyczę jej chętnie, na długi czas i na dogodnych warunkach.

Po tem oświadczeniu, pani N. złożyła dobrej pani F. wizytę, podczas której wprawdzie nie obiecała wszystkiego, co było postanowione, jako warunek pożyczki, ale była bardzo grzeczna, wdzięczna i zaproponowała wkońcu, aby razem złożyć wizytę pani A. i tam ostatecznie omówić wszystkie warunki pożyczki.

Tak też i zrobiono, ale nagle okazało się, że „najserdecniejsza przyjaciółka“, pani A. zaczęła nie namawiać, ale wprost żądać od pani F. pożyczki dla pani N. bez żadnych dla teź obowiązków.

No i w rezultacie końcowym między paniami F. i A. zaczęły się kwasy, z których, Bóg wie, co może jeszcze wyniknąć, nawet zerwanie przyjaźni.

Stanowczo, w stosunkach prywatnych takby być nie mogło, w polityce jednak jest. Anglja ma do Francji poważne pretensje za jej stanowisko w stosunku do Niemiec, Niemcy zaś podtrzymują gorliwie tę animozję, zacierając ręce z radości, że wprowadzili ją między dawnych aljantów.

A stąd do różnych przegrupowań przymierzy politycznych niebardzo daleko.

Anglja okazuje tu wygórowane poczucie własnego interesu, chce koniecznie, aby Francja dała Niemcom swoje miliony, aby uniknąć straty tych milionów, które, niebardzo wiadomo, poco, sama Niemcom pożyczala.

Z punktu widzenia angielskiego, jest to racja, dla pokoju europejskiego jednak te zadrażnienia francusko-angielskie są bardzo niekorzystne.

NASZA OKŁADKA.

Okladka w numerze bieżącym, wykonana według akwareli znakomitego artysty-grafika Edmunda Bartłomiejczyka, przedstawia „Krajobraz morski“.

ZAKOPANE — BRISTOL

Adres:

Hotel Bristol, Zakopane.—Tel. 315.

Najtańszy reprezentacyjny hotel-pensjonat. Zaciszne, zdrowotne i malownicze położenie nad potokiem. Idealne warunki wypoczynkowe—pierwszorzędny komfort.

CENY BARDZO UMIARKOWANE.

580

NASZA MÓWNIKA

Kobiety nowoczesne (w odpowiedzi p. A. K. i Łodziance).

Bardzo łatwo jest udzielać dobrych rad, trudniej z nich korzystać.

Nie będę więc nie radziła pani A. K., a tylko opowiem Szanownym Czytelniczkom, jak żyją i pracują dwie kobiety nowoczesne: moja służąca Józia i ja.

Józia utrzymuje we wzorowym porządku mieszkanie (2 pokoje i kuchnię), prócz tego dwie klasy szkolne, sień, podwórka (mieszkam na wsi) i ogród warzywny (pielenieli). Opiekuje się krową i kurami. Gotuje bardzo smacznie całodziennne posiłki, podaje estetycznie, myje naczynia, wodę nosi ze studni z podwórza. Piecze stale chleb i ciasta. Smaży konfitury i robi marynaty. Czyściutko pierze i prasuje bieliznę. Pilnuje dziecka w czasie mojej nieobecności.

Wszystko to Józia wykonywa z miłym uśmiechem. Krzyczy tylko na „szkódną“ krowę, albo na kwokę i nie lubi kota. Józia nikt nie kontroluje, a plan dnia układa ona sama. Wzywa mnie do narady nad planem tygodniowym, gdy trzeba bielić, prać, albo przygotować się na przyjęcie większej liczby gości.

Placę Józii 20 zł., prócz tego ma 30 zł. pensji, jako stróżka szkolna: dużo pracy, większe wynagrodzenie. Aby jej ułatwić ten drugi obowiązek, wszelkie „posylki“ załatwiam sama, a także najmuję „rębacza“, aby przygotował drzewo na zimę.

Powiedzcie mi, państwo, czy Józia nie zasługuje na miano kobiety nowoczesnej?

Jest samodzielną, obowiązkową, pełną inicjatywy; umie rozłożyć swą pracę tak, aby wszystko było wykonane we właściwym czasie, a właśnie te cechy pragniemy rozwijać w dzisiejszej kobiecie.

A teraz ja: (nie odznaczam się skromnością, niestety!) jestem nauczycielką. Panią domu jestem, bo układam budżet i wydaję pieniądze, szyję sobie i dziecku wszystko, prócz moich płaszczy i sukien balowych; ale właściwie „panią domu“ jest obecnie Józia, prawda?

Jestem żoną (to obowiązuje do wiecznie milego uśmiechu, którego mi czasem brak) i matką 4-letniej Zosi. Jestem pozatem 26-letnią kobietą, która lubi ładnie się ubrać i zabiawić. Gram w piłkę ze swoją córeczką, w inne gry z dorosłymi, jeżdżę na rowerze, lubię jeździć i wszystko mi jedno, czem, nawet najgorszą furmanką, byleby to była podróż. Lubię tańczyć, pójść do teatru, kina, posłuchać radja, czytać, słowem, staram się używać wszystkich przyjemności, jakie daje dzisiejsze życie.

Jestem wprawdzie od urodzenia „sucharkiem“, t. j. 48 kg. wagi przy 164 cm. wzrostu, ale nie choruję prawie nigdy. Byłam wyczerpana w czasie karmienia córki, która prócz mnie i stałej służącej nie miała dodatkowej opiekunki (niani), ale musiałam dać sobie radę.

Teraz bardzobym chciała mieć drugie dziecko, ale tak mnie straszą gruźlicą, że postanowiłam odłożyć tę przyjemność do czasu, kiedy będę w możności materialnej wziąć roczny urlop od pracy zawodowej, na czas karmienia dziecka.

Teraz plan dnia, w którym mieszczą się te wszystkie obowiązki moje i Józii: Józia wstaje latem o 4-tej, zimą nieco później. Doi krowę, wypuszcza ją na paszę i kładzie się jeszcze spać, o ile nie ma specjalnej pracy: pieczenia lub prania. Piecze zwykle, zanim ja wstanę, cichutko, aby nikogo nie budzić. Gdy ma być pranie, gotuje część obiadu na dwa dni z góry, aby mieć cały dzień i następny ranek do tak ważnej pracy.

O 7-mej wstajemy i ubieramy się, a Józia gotuje śniadanie i sprząta jeden pokój, następnie daje śniadanie. O 8-mej idziemy do szkoły.

Zosia bawi się w pierwszym pokoju, lub w ogrodzie, sa-

ma, czasem z dziećmi wiejskimi: Józia sprząta drugi pokój, kuchnię i idzie do ogrodu pleć, lub zajmuje się inną jakąś pracą, pilnując równocześnie dziecka. W sobotę odbywa się szorowanie podłóg. Około 10—11 Józia zabiera się do gotowania obiadu, który zjadamy po lekcjach, lub w czasie 20-minutowej przerwy. Po obiedzie Józia zmywa, sprząta kuchnię, pilnując przytem dziecka, które zresztą ślicznie się bawi samo, ma moc pomysłów i jest zawsze wesołe.

Po skończonych lekcjach, Józia sprząta klasy, ja odpoczywam, lub używam jakiejś przyjemności i zdaleka pilnuje dziecka. Czasem jadę dokądś, lub jestem zajęta trudniejszą pracą, wtedy Zosia bawi się z tatusiem: jeśli jedziemy oboje, zostaje z Józia.

Popołudnie Józia ma wolne, o ile nie została jej jakaś praca: pranie, prasowanie, praca w ogrodzie. Ogółem biorąc, 4 popołudnia w tygodniu ma wolne, w niedzielę od 1-ej godziny.

Podwieczorek zjadamy mimochodem, czasem na stojąco, bierzemy go sobie sami.

O 7-mej kolacja, następnie myję dziecko i kładę je spać, nie tracąc czasu na żadne usypianie. Prostu kładę Zośkę do łóżeczka w ciemnym pokoju, a sama zabieram się do pracy w sąsiednim. Uważamy tylko, aby głośno nie rozmawiać. Tak było od pierwszego dnia jej życia.

Od 8-ej do 10-ej przygotowuję się do lekcji, poprawiam zeszyty, piszę listy. Często się zdarza, że jakieś prace, związane ze szkołą, zajmują mi całe popołudnie, wtedy odpadają rozrywki, ale zato w planie dnia jest różnorodność.

Szycie mieści się w godzinach popołudniowych, lub w okresach feryj i wakacyj. Jest ono dla mnie także rozrywką.

W moim pracowitem życiu brak miejsca na pracę „społeczną“. Będąc dzieckiem i panną, miałam nawet zacięcie w tym kierunku, należałam do kilku organizacji i zajmowałam w nich odpowiedzialne stanowiska. Dziś sądzę, że wychowanie dziecka i praca nauczycielska, to są też obowiązki społeczne, więc może starczy ich przynajmniej do czasu, gdy córka mi podrośnie. Jeszcze 5—6 lat!

Pracy mam dużo, czasem narzekam, czasem nawet płaczę ze zdenerwowania (o hańbo, o wstydzie! To się zdarza około 4-ech razy w roku), ale zasadniczo jestem szczęśliwa (dużo w tem zasługi męża, naturalnie!), zadowolona z życia i pewna, że z każdym dniem zbliżam się do lepszych warunków, zyskuję siły i energję zamiast tracić.

W moim planie dnia jest trochę „artystycznego“ nieładu, ale ja tak żyję i jest mi dobrze. Na wszystko starczy mi czasu, choć nie zamęczam się wcale. Wśród przyjemności pierwsze miejsce zajmują pisma i książki.

Czytuję stale: „Bluszc“, „Wiadomości Literackie“, „Dziecko i matkę“, „Głos nauczycielski“, „Pracę szkolną“. Dzienniki, przyznają się ze skrucą i obietnicą poprawy, czytuję dorywczo.

Książki czytam często, zwłaszcza beletrystyczne. Bardzo lubię czytać. Gdy byłam dzieckiem, nie miałam prawie żadnych przyjemności, poza czytaniem. Dziś potrafię oszczędzać na wszystkim, prócz książek, 15% zemści się na moim ubraniu, ograniczy moje podróże dla przyjemności, ale nie wpłynie na liczbę przeczytanych książek.

Nie mogę się zgodzić na ostry sąd p. Ł. o dzisiejszych książkach. W literaturze powojennej spotkałam nie mniej wartościowych książek, niż w przedwojennej. Że dziś mniej jest pięknej formy, a więcej szczeroci w ujmowaniu zagadnień życiowych, uważam to za postęp, za wielki krok naprzód ku prawdzie.

Niech nikt nie mówi, że my, kobiety nowoczesne, odzwyczailiśmy się od kupowania książek! Byłby to smutny objaw, ale tak nie jest. Dużo jest takich, które na zawsze pozostaną wiernymi starej przyjaciółce, książce.

Teofila Fidos — Brzuchowcize.

PRZEZ SIATKĘ DESZCZU

Są podobno w Niemczech towarzystwa ubezpieczenia od niepogody. Urlopowany urzędnik, który każdą godzinę pozłocił sobie zawczasu nadzieją na słońce, asekuruje się i dostaje premję za dni przepadłe, zmarnowane—deszczowe.

Mądre urządzenie. Przydałoby się i nam coś takiego w miesiącach, w których z trudem uzbierane i podsumowane momenty nieba bez chmur wyniosą marnych kilkanaście godzin. Grecja ma podobno rocznie 80 dni absolutnie szafirowych. Polska — 3. Rekordowa pod tym względem Wileńszczyzna psuje nam ogólną konjunkturę: leją tam deszcze na głowę bez żadnego pomiarkowania. W całej Polsce zresztą wakacyjnicy płaczą na pogodę.

Jak się z tem rozplątać?

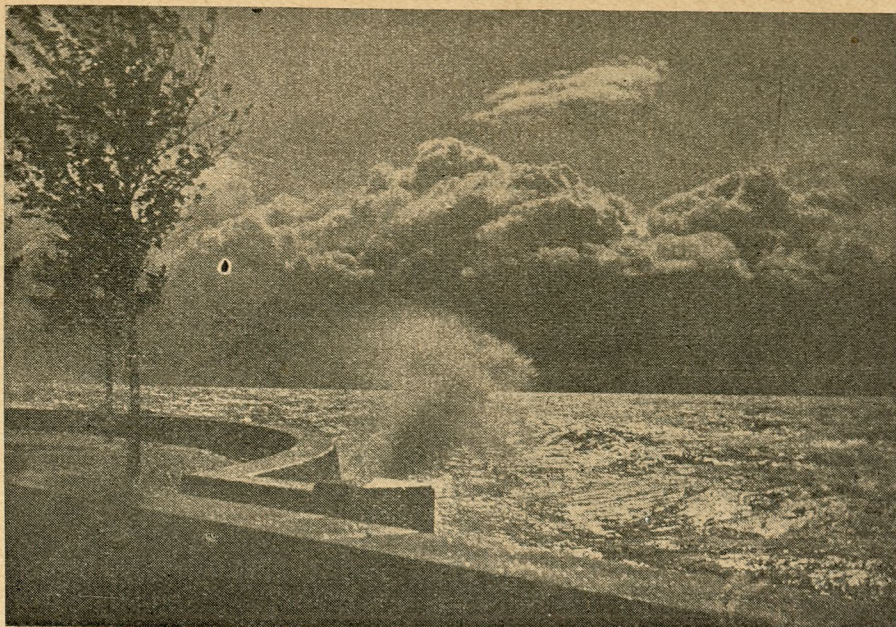
Tak samo, jak z każdą inną rzeczą zawadzającą, a nie do usunięcia, z pogodą trzeba wynaleźć jakąś taktykę postępowania. Ustawić się do niej pod nowym kątem psychicznym, dla nas wygodniejszym, wyokrąglić kanty bolącego zagadnienia.

W myśl zasady: jak się nie ma, co się lubi (pogody), polubić — deszcz. Dopust atmosferyczny, mokość obrzydła, zniewagę chłodu i wiatru na ledwo pobronzowiałej, brutalnie odstawionej od słońca, skórze?

Czy warto?

Trzeba.

Przez najprostsze wyrachowanie. Zamiast wyrzucać dni deszczowe z życia, obtłukując się o ścia-



ny lotnisk i pensjonatów ze szczękami, którym nuda każe wychodzić z zawiasów, skamląc przytem o najgłupszą bodaj książkę, pomyślny sobie trochę o tym deszczu, który każe być światu obcy a życiu — niemiłe, nie jak o wrogu, ale jak o neutralnym towarzyszu, z którym można dojść do porozumienia.

Od nas, oczywiście, zależą pierwsze kroki na ścieżce zgody.

Może nią być każda dróżka leśna. To tylko pierwsze mokre sprzeciwy gałęzi i krople za kołnierzem są przykre. Potem już nie. Drugi i piąty kilometr oswoi nas całkowicie z wilgocią, rozgrzeje radością sportowego kroku, uszczęśliwi zapachem każdej, do czysta wymytej trawki. Po drodze wypadnie spotkać niejedną atrakcję. Choćby liczne, młode ropuszątka, których rodzice nie zastosowali z pewnością w tym roku regulacji urodzin. Przy przecięciu toru kolejowego zobaczymy z każdej strony szyn gęstwą tych pokraczek, nieumiejących przegramolić się na drugą stronę. Widok zaiste rozweselający.

Można, naprawdę można, chodzić podczas deszczu i to w dodatku ostrym, zrytmowanym krokiem, jakiego nigdy nie osiągniemy na upale.

Oblaskawiwszy trochę wroga, możemy podjąć dalsze dzielne próby.

Kąpiel w morzu, rzece, czy jeziorze w tej obfitości wielostronnej wody jest czemś zupełnie nieoczekiwanym. Chodzi się po piasku lub trawie w kostjumie, czepku i pantoflach kąpielowych i ma się poczucie triumfującego zabezpieczenia. Mokro bo mokro. Ale już nam ten deszcz niestraszny. Już nawet miły.

Trzeci i ostatni stopień wtajemniczenia. Możemy próbować wszyst-





kiego. Chodzenia, nie, *napewno* biegania po kałużach. Kąpieli pod rynną. Biegu naprzetaj: z psem, bratem, koleżanką. Gry w piłkę.

Krewni i znajomi, zamknięci w ścianach, dziwić się będą radosnym nawoływaniom. Doleci ich specjalny, donośny, niespodziewany śmiech przygody.

Dotarliśmy do istoty problemu. Deszcz przecież, niewyrzucony pogardliwie z ramek naszych doznań, zawsze jest przygodą.

„Zmokliśmy doszczętnie“. Nie została na mnie sucha nitka“ (przysłowiowa nitka!). „Wróciliśmy do domu zupełnie przemoczeni“. Nie sąż to klasyczne zdania szkolnych wypracowań na wakacyjne tematy?

Zastanówmy się, jak namiętnie lubią moknąć dzieci. Trzyletni bachor, „spuszczony z oka“, pędem leci do kałuży. Czy nie do nich należy w tym wypadku ostatnie słowo, dyktowane instynktem, który tak często zbiega się z rozsądkiem?

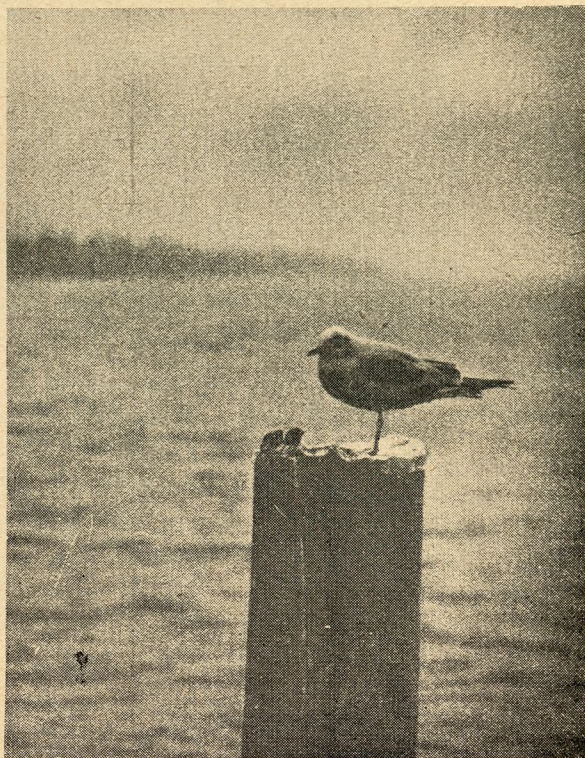
Dorośli nie mokną. Gdzieżby! Nie wychylają się przecież z domu na niepewną pogodę. A jednak, jeśli wbrew woli, przecina im drogę przygoda deszczowa, czy opowiadanie o tem, przebieranie się w suche ubranie i inne, związane z tym faktem, czynności odbyły się kiedyś bez odruchowych wybuchów szczenięcej wesołości?

Natura robi swoje. Deszcz sprawia, że młodość odpędzana, pogardzana, młodość, której wypieramy się po wielokroć w każdej narastającej godzinie życia, czyni próby pojednania nas ze sobą, aż zrażona ostatecznie, nie zostanie daleko za nami.

W tej śmiało podjętej grze z deszczem o nowe wartości nie obowiązuje nas niewolnicza uległość. Możemy mu podyktować warunki. Dotąd — nie dalej sięga twoja władza. Może wogóle nie chcemy moknąć, tyl-

ko iść, patrzeć, wahać i słuchać? W takim razie musimy mieć czem się odgrodzić. Jakież jest ten, żal się... człowieku, deszczowy ekwipunek?

Stare, rozklapane pantofle, wyrudziały płaszcz z przed lat — tak się teraz nawet samozwańczo nazywa: od deszczu — wywrócony na nice parasol, a na głowę coś, co przestało już być kapeluszem, a nigdy nie było beretem. Wstręt do znoszonego ubrania odrzuca nas jeszcze bardziej od niepogody. A przecie w naszym klimacie pory deszczowe wołają o odpowiedni komplet, gardząc niedonoszonymi przy słońcu odpadkami.



Kolorowy płaszcz nieprzemakalny, czapeczka w rodzaju kąpielowej (zapięta pod szyją), pantofle specjalne na gumie. Czy to wszystko, odpowiednio skompletowane, nie pogodzi nas z deszczem zarówno na wsi, jak w mieście? Powinniśmy tylko postawić deszcz w programie naszego życia, zamiast uważać go za krzywdzący wyjątek od reguły nieprzerwanej pogody.

Zabezpieczonym od niego udzieli jeszcze wielu ze swoich łask.

Woda, najmiększa z miękkich, przedziwnie wygładza skórę. Skądże, jeśli nie z tej wilgotności powietrza, pochodzi najdelikatniejsza karnacja angielska? Najstarańniej przepłó-



kanem powietrzem orzeźwi płuca. Wiatr spragniony napoi zupełnie wyłącznym zapachem. Po dniu przechodzonym da sen żywiołowy, z gatunku tych, co się stają dobrodziejstwem zimowem brata w przyrodzie — niedźwiedzia i kuzyneczki — jaszczurki.

A jeśli, oporni i niepokodzeni, otworzymy mu tylko okno — dmuchnie nam w twarz oszalamiającą świeżością. Nawet na szybie zamkniętej wydzwoni rytmiczne trzy nutki prymitywnej piosenki, darząc godziną skupienia bez pokusy wypadu ze ścian.

Młodzi, zdrowi i mocni nie wzdragajmy się przed zawarciem tej mokrej przyjaźni.

Zakatarzeni, grypowi, zreumatyzowani, nieruchawci, otyli, tchórzliwi i wrodzy — gorzko żałujmy winy bardzo wielkiej: odrzucenia z dróg naszych rzeczy żywej, rzeźkiej i młodej.

Jest jeszcze czas się nawrócić. Powoli, ale nieustająco spróbujmy odzyskać wartości, pozostawione w sieci deszczy, przepadanych napróżno.

Wanda Borużka.

JUTRO TRZEBA BĘDZIE ZAPŁACIĆ

Beztrioskie życie z dnia na dzień, niepozabawione uroku, bo napozór niefrasobliwe, zamknięte w ciasnej szufladce, w której nie mieści się już nic więcej ponad maleńki skrawek dnia jutrzejszego — jest jakoby przykrojone na miarę kryzysowych nastroi.

Bo któżby myślał na dalszą metę, jeżeli tak łatwo znaleźć usprawiedliwienie w przeświadczeniu, że przeżycie dnia dzisiejszego do cudów zaliczyć należy.

Jutro? Jakoś to będzie!

Słusznie, czy niesłusznie mówi się o tych, co przynieśli ze sobą na świat „łut szczęścia“, że, niczem kot — spadają zawsze na łapy. Ale znałam takiego kota, co spadł z parapetu okiennego (widocznie, nie na łapy), skręcił giętki karczek i zakończył młodociany żywot, wyciskając łzy szczerego żalu z oczu swej właścicielki.

Stąd nauka dla zastępu tych, którzy kroczą pod znakiem wiary w *jakoś to będzie*, że naogół niema reguły bez wyjątków.

Życie z dnia na dzień — to, niestety, nie nowy przybysz. To zasiedziały, wyposażony w prawa i przywileje, obywatel wolnej i niepodległej Polski.

Było w czasach, co zapisały się złotymi zgłoskami w historii naszego narodu, w czasach, kiedy szlachcic na zagrodzie równał się panu Wojewodzie; nie straciło swej mocy w epoce tragicznych załamań; wskrzesło z nową siłą, kiedy „Polska wybuchła“.

Było, jest i obawiać się należy, że nadal będzie. Tylko... nie trzeba nam robić z tego zarzutu! Bo jakże pomawiać kogoś o grzechy główny, jeżeli z rozbijającą wiarą obwołuje go, jako największy urok własnej (słowiańskiej) natury?

Francuzi? — materjaliści, zawsze myślą o jutrze; Niemcy? — germańska praktyczność wstrętem przejmują; Angliki? — zimni egoiści (podobno winien temu klimat Wielkiej Brytanji); Amerykanie? — zwyczajni dorobkiewiczowie. A my, Polacy? My jesteśmy smak życia, ludzie wyposażeni w wielki dar od natury: umiejętność życia chwilą!



Tak, chwila bywa bardzo piękna.

Przeżywa się ją pełną piersią, gdy system ratalny uchyli nam drzwi do rajy, dając szalonemu miecz w rękę; uśmiecha się do nas z wdziękiem uwodzicielki, gdy na zapłacenie lekkomyślnie zaciągniętego zobowiązania podpisujemy nowe, zawsze o parę conajmniej setek wyższe, a więc naprzeciąg kilku dni, czy kilku tygodni uchylające doraźną troskę; kusi poszerzeniem starej prawdy, że *żyje się przecież tylko raz*, więc czyż warto zawsze i wiecznie odmawiać sobie czegoś w imię rozsądku?!

Na to, żeby być skrobkiem, trzeba się specjalnie urodzić. Człowiek z gestem, z pańskim gestem, nie ogląda nigdy złotówki, którą wydaje. Umie wydać i umie odpowiedzieć na pytanie „co dalej?“ — „jakoś to będzie!“.

Jeżeli było wczoraj — jest dzisiaj — będzie i jutro.

Ale oto zbliża się jutro, które znów należy zaliczyć do notowanych przysłówiem wyjątków, plam na słonecznej regule. Bo trzeba, niestety, zacząć się obawiać i to obawiać bardzo poważnie, że było wczoraj jest jeszcze (niewiele) dzisiaj, ale jutro prawdopodobnie *nie będzie*.

W obliczu tego smutnego jutra, jak zawsze zresztą, jesteśmy bez winy. Z lojalną pomocą przychodzą nam znów *warunki*. Bo takie to są już dzisiaj warunki, że usprawiedliwiają wszystko i w dodatku rehabilitują ofiarę w cudzych i własnych oczach.

Jeszcze parę miesięcy temu, kiedy pobory i prywatne zarobki wpływały do kieszeni ludzi pracujących z regularnością doskonale funkcjonujących zegarków, można było rozmaicie komentować postępowanie tych, których budżet załamywał się w połowie miesiąca, tych, którzy uginali się pod ciężarem lekkomyślnie zaciągniętych rat, czy weksli bez pokrycia.

Ale dzisiaj? kiedy i tak nikt nie jest w stanie wystarczyć potrzebom dnia, co idzie, myśl o jutrze, *jutrzejsza zapobiegliwość* jest niczem więcej, jak niebezpieczną przywarą manjaków.

I tak nic nie mam i nic mieć nie będę, więc, czy się trochę mniej, czy trochę więcej rozminę z tem, na co mnie stać, w niczem to sytuacji nie zmieni.

W myśl tej teorii życie płynie nadal utartym kołosem. W dniu, który się rozpoczął pod znakiem „wykreślenia“ niezbędnych złotówek, jedzie się taksówką; je ciastka do śniadania, czy obiadu; odwiedza wyprzedaż posezonową, korzystając z niesłychanej okazji (na raty) i ćwiczy się nadal w bezcennej umiejętności życia *tylko dniem dzisiejszym*. Jeżeli na jutro zostanie kilka zapasowych papierosów, niezbędne grosze na pierwsze śniadanie i tramwaj — górą nasza! Dostyc będzie czasu opracować mistrzowski plan zdławienia jutrzejszej troski, gdy nieublagany budzik wydzwoni godzinę przebudzenia.

System, jak system! Idealny.

Ale co będzie dalej? Co będzie nie jutro, nie pojutrze, ale za miesiące, za lata, kiedy wrócimy prze-

cięż do normalnych warunków, kiedy zabraknie usprawiedliwienia strategicznemu genjuszowi, kiedy będzie można spokojnie i bezpiecznie nie tylko odbudowywać przeszłość, ale budować przyszłość? Czy da się wówczas zawrócić z miejsca i pójść inną drogą?

Tak, brzydkie jest życie, w którym trzeba się wyrzec dzisiaj świeżego kwiatka, żeby mieć jutro bułkę. Ale jeżeli trzeba i jeżeli niema na to innej rady?

Do przeprowadzenia skutecznej reformy brak niewiele. Nauczyć się tylko oceniać należycie odległości. Nawet, jeżeli wyobraźnia pożyczyci nam stumilowych butów z bajki, zawsze *jutro* dogoni nas prędzej, niż przed nim uciec zdążymy.

Cofam się myślą wstecz, szukając źródeł piolunu, w którym mi dzisiaj przyszło maczać pióro. Czyżby jakiś grzech obciążał moje sumienie?

Jest! Ostatni termin dostarczenia artykułu wypadł w feralny dzień. Jakieś złośliwe bogi skierowały moje kroki do jednej z wielu świątyń systemu „ratałnego“ (prawdziwa świątynia: „zachcianki“ i rzeczy potrzebne spłaca się w minimalnych ratach — 5 zł. tygodniowo).

W projekcie było tylko sprawdzenie rachunku — w rzeczywistości obciążony został nowymi złotówkami.

Takie nic — jedna patelka i kilka rondelków aluminiowych. Prawdziwe cacka. Lśniące, higieniczne, rozkoszne.

Jakże mi się niewypowiedzianie zdziwiły emalowane rondelki z poodbijaną polewą, czyszczone mozolnie dzień po dniu wełną stalową Sunray. Ale... w gruncie rzeczy można je było jeszcze czyścić i gotować w nich długie miesiące.

Proszę — oto jest idealny przyczynek do *ocenia odległości*. Raty płacę we wtorki, dzisiaj mamy czwartek. Za lekkomyślną rozkosz schowania do odległego kąta kuchennej szafy znieawidzonych inwalidów zaczęłam płacić dopiero za cztery dni!

Typowe schowanie głowy pod skrzydło! Pocisk, który w najbliższy i szereg dalszych wtorków uderzy w mój biedny budżet kobiety pracującej, nie jest pociskiem odosobnionym, jak i ja, niestety, nie jestem odosobnioną grzesznicą.

Chwila — chociaż na tak maleńką miarę zakrojona — była doprawdy bardzo miła.

Kartofle przysmażone i podane na ślicznej, nowej patelce, niezastąpione!

Takim było dzisiaj. A jutro? Jutro trzeba będzie zapłacić...

Wanda Dobrzańska.

OSZCZĘDNOŚĆ W ODNAWIANIU MIESZKANIA

Zasadniczo odnawianie mieszkania nie jest żadną filozofją i może być wykonane poprawnie nawet przez osobę, która nie ma żadnej praktyki w tym kierunku, a tylko teoretyczne wiadomości. Człowiek inteligentny prędko przyswoi sobie fachową umiejętność i zdobędzie doświadczenie, do którego nieinteligentny rzemieślnik dochodzi po długim okresie terminowania, ustępować będzie jednak fachowcowi pod względem wprawy i wykona robotę równie dobrze, a nawet niejednokrotnie lepiej, lecz straci na nią więcej czasu.

To też czas jest tym czynnikiem, który należy

brać pod uwagę przy kalkulowaniu, czy taniej będzie odnowić mieszkanie samemu, czy brać rzemieślników.

Drugim czynnikiem kalkulacji będą narzędzia. Majster przychodzi ze swoją drabiną, kubłem na farbę, pendzlami, szpachlą, tarką malarską i t. p. Wszystko to są rzeczy rzadko spotykane w normalnym gospodarstwie, a kupienie ich pochłonęłoby sporo pieniędzy. Już sam szeroki pędzel do malowania ścian t. zw. ławkowiec (w książce wyd. „Życie Praktyczne“ p. t. „Odnawianie mieszkania“ podany na tabl. I — Nr. 6), jeżeli jest w dobrym gatunku, kosztuje przeszło 15 zł., a tańszego kupować nie warto, bo szczerina źle się układa i nie kładzie farby szeroką, równą płaszczyzną, tylko smugami.

Można wprawdzie dać sobie radę na upartego. Osobiście wymalowałam kiedyś kilka pokoi szczotką do zamiatania (o włosie skierowanym w jedną stronę), z której wyjęłam długi drażek i wprawiłam krótki, a samą szczotkę dokładnie w letniej wodzie z mydłem wymyłam. Ten gościnny występ w malarstwie nie zaszkodził jej nawet, ponieważ pamiętałam o tem, żeby nie pozwolić farbom zasychać na szczotce, tylko po skończeniu dziennej roboty starannie płókałam i suszyłam włosie.

Szczotka kładzie farbę doskonale, jest jednak ciężka i bardzo męczy rękę.

Wspomniałam o niej, dając przykład, że potrzeba jest matką wynalazków, ale nie jest to idealne wyjście z sytuacji.

Naogół nie radzę własnoręcznego odnawiania ścian osobom niewprawnym i niemającym doświadczenia w operowaniu farbami.

Jakkolwiek książka „Odnawianie mieszkania i porządku domowego“ daje b. dokładne i wyczerpujące przepisy, proporcje i objaśnienia, mimo to każdy laik natknąłby się w praktyce na cały szereg wątpliwości.

Oszczędzić na odnawianiu mieszkania możemy w inny sposób — kitując i malując podłogi, drzwi i okna.

Przy odnawianiu ścian i sufitów rola nasza ograniczyć się powinna do dopilnowania malarzy: dobrania z nimi koloru ścian, zdecydowania, jak nisko ma być opuszczony sufit, ustalenia kolorów i szerokości szlaku. Będzie to też oszczędność, bowiem niejednokrotnie malarz, kierując się własnym gustem, zrobi coś takiego, że trzeba przemalowywać jeszcze raz, bo nie można na to patrzeć.

Najlepiej, jeśli mamy książeczkę z próbkami kolorów, jakie można z farb klejowych uzyskać.

Książeczki takie można dostać w dużych składach farb (w Warszawie u Imrotha, Nowy Świat 16). Każdy kolor opatrzony jest numerem, a załączony spis objaśnia, jakie farby trzeba brać dla uzyskania danego koloru. Niedosć jednak wybrać i zostawić malarzy bez dozoru, bo umieją zrobić coś ledwo przypominającego żądany kolor i wmawiać, że to to samo. Trzeba żądać próby na arkuszu szarego papieru, na wiórku, drzewie, a najlepiej na kawałku ściany.

Co do wyboru kolorów, to po za indywidualnymi zamiłowaniem istnieją pewne ogólne wytyczne, z którymi trzeba się liczyć. A więc: nie należy malować ścian na kolor zbyt jaskrawy, bo ten przy pewnym nastawieniu psychicznym, zależnym od zdrowia, odpoczynku, okoliczności zewnętrznych, może nam być miły, przy innym — męczący i przykry, a napewno nie będziemy zawsze w jednakowym usposobieniu.

Drugą ogólną wskazówką jest to, aby nie malować ścian zupełnie pod kolor dywanów, czy tkanin, pokrywających meble. Przedewszystkiem nigdy nie

otrzymamy w farbie klejowej dokładnie tego samego koloru, co w tkaninie, a takie zbliżone tony tworzą najprzykrzejszy dysonans barwny; pozatem ten nadmiar jednej barwy, przelewającej się po wszystkim w pokoju, jest męczący dla oka i nie ma żadnego logicznego uzasadnienia.

Ściana powinna być tłem, na którym tkaniny, meble, obrazy, stanowiłyby dobrze harmonizujące plamy barwne.

Kolory ścian lepiej dawać niezbyt ciemne, aby nie pochłaniały światła. Co do barw, to doświadczenia wykazały, że kolorem, dobrze działającym na psychikę większości ludzi, jest lekko-żółtawy, o słonecznym odcieniu. Kolor ten jednak nie nadaje się do mebli jesionowych, które wyglądają lepiej na tle szarem, szaro-zielonem, czy szaro-niebieskawem.

O ile w wyborze większości barw możemy się kierować wyłącznie względami estetyki i upodobań mieszkańców, to jeden kolor ma za sobą przewagę względów praktycznych. Jest to błękit, otrzymany z ultramaryny, dość intensywny (tak w niektórych okolicach białą chaty). Jest to kolor, którego nie lubią muchy, to też bardzo nadaje się do pomalowania ścian i nawet sufitu w kuchni. Jeżeli jeszcze do farby dodamy nieco alunu, otrzymamy jakąś chemiczną kombinację, na której ślizgają się łapki muchy, co zapobiega zbieraniu się sejmów muszych w kuchni.

Ściany malowane powinny być utrzymane w jednym kolorze — wzory malowane przy pomocy kupowanych gotowych szablonów są beznadziejną tandetą z estetycznego punktu widzenia, a pozatem ornament na ścianie konkuruje w przykry sposób z obrazami, tkaniną na meblach, a nieraz i z samymi meblami.

Należy to mieć na względzie również przy wybieraniu tapet. Zupełnie gładkie tapety muszą być w dobrym gatunku, są kosztowne w robocie (trzeba pod nie dawać makulaturę) i niepraktyczne, gdyż znać na nich każdą plamę.

Najpewniejszy efekt dadzą tapety o bardzo niłym deseni — jakaś siateczka, prążki, lub coś podobnego, co nie jest męczące dla oka, a nie łamie w kawałki płaszczyzny ściany.

Duże, nowoczesne, nieraz bardzo piękne graficznie, ornamenty na tapecie doskonale nadają się do kawiarni, sklepu, lub innego lokalu w tym charakterze, gdzie mają do pewnego stopnia zamaskować pustkę, ale w prywatnym, niedużym mieszkaniu robią wrażenie przytłaczające.

W dzisiejszym wnętrzu śmiało, duże przestrzenie gładkiej ściany nietylko nie rażą, ale najlepiej harmonizują z prostymi meblami współczesnymi; to też kto chce mieć rzeczywiście nowoczesne mieszkanie, nie powinien się godzić na namowy malarzy, aby „ozdobić” ściany szablonowym ornamentem, co tak często stosuje się dziś jeszcze w prowincjonalnych miastach, a co wpływa dobrze tylko na zarobek rzemieślników. Gładka ściana będzie oszczędniejsza i ładniejsza. Zakończymy ją również nie szlakiem z kwiatków, a paseczkami z jednego lub dwóch kolorów, ciemniejszym od ściany.

Na tem może skończyć się rola rzemieślników w oszczędnie odnawianem mieszkaniu. Zostają drzwi, okna, podłogi. Zaczynamy od drzwi i okien. W razie potrzeby uszczelniamy drzwi przez ewentualne nabicie listewek na próg i sprawdzamy, czy kit w oknach się nie wykruszył. Przed okitowaniem myjemy dokładnie zapomocą szczotki wodą z szarem mydłem drzwi i części okien, które mają być malowane. Jeżeli

farba podpadała miejscami tak, że tworzy nierówności, które nie dadzą się ukryć pod warstwą nowej farby, trzeba dawną usunąć. Można to osiągnąć, namydlając miejsca, pokryte przez farbę, szarem mydłem, lub maczając ługiem, który rozmiękcza farbę, ale najlepiej i najprędzej zrobimy to przy pomocy specjalnego preparatu, który do tego celu sprzedają większe składy farb.

Jest to rodzaj galaretki, którą się cienką warstwą nakłada na farbę, a po kilkunastu minutach wszystko razem zdrapuje szpachlą lub cykliną. Jest to o wiele szybsze w działaniu, niż mydło, czy ług płynny, które działają po kilku godzinach.

Czemkolwiek jednak usuwamy farbę, trzeba drzewo później dokładnie wymyć i dać wyschnąć, aby nowa farba nie odstawała.

Malujemy dwa, albo lepiej trzy razy, t. j. dwa razy farbą i trzeci raz lakierem. Sekret trwałego malowania polega na tem, żeby farbę kłaść jaknajcieńszą warstwą i dać dobrze wyschnąć (najmniej 24 godz.) przed następnem malowaniem. Farbę najlepiej kupić gotową, zwykłą olejną, na grunt i Lustrolinę — na ostatnią warstwę.

Przed malowaniem zalepiamy ewentualne szpary kitem do drzewa, który też dobrać powinien. Włos w pendzlu do malowania na $\frac{1}{3}$ obwiązać sznurkiem, żeby go skrócić, bo zbyt długi i uginający się nie pozwala dobrze panować nad pendzlem.

Aby nie brudzić szyby, dobrze mieć kawałek sztywnego kartonu o równym brzegu i zasłaniać nim szybę w tem miejscu, obok którego malujemy ramę.

W podłogach przed malowaniem dobrze kitem do drzewa zakitować szpary (kupuje się w składach farb gotowy — t. zw. szpachlówka do podłogi, albo sporządza według przepisu, podanego w wyżej wspomnianej książce wyd. „Życie Praktyczne”). W większe szpary wbijamy nawet cieniutkie listewki drewniane, choćby wystrugane naprędce, bo sam kit w takim wypadku jest nietrwały.

Przed malowaniem dokładnie wymytą podłogę pociągamy najpierw pokostem, który schnie 48 godz., potem 2 razy farbą i trzeci raz lakierem. Na 1 m. kw. podłogi potrzeba $\frac{1}{10}$ klg. zaprawy i $\frac{1}{20}$ klg. lakieru i tyleż pokostu. Pendzel do podłóg powinien być znacznie większy. Po użyciu wymyć pendzel w terpentynie.

Jadwiga Prażmowska.

PARĘ SŁÓW O KRÓLIKACH

Dużo się pisze o użyteczności tych ślicznych zwierzątek, nawet bodaj że i hoduje się ich u nas sporo — wnosząc chociażby z tego, że w dziale towarów eksportowych widzimy figurujące skórki królicze.

Tylko nie spotykamy ich weale na rynkach, a przynajmniej na rynkach stolicy; widocznie hodowcy całą produkcję mięsna zużywają dla siebie.

Mówię tu o królikach swojskich, gdyż dzikie — drobne i szare, stanowiące, nawiasem mówiąc, prawdziwą plagę pól w miejscowościach, przez te gryzonie nawiedzanych — czasem masowo zjawiają się w sklepach ze zwierzyną, są jednak niedoceniane i mało kupowane.

Właśnie te króliki dzikie („lapins de garenne”) są najsmaczniejsze i najbardziej we Francji cenione. Pozatem Francja i Włochy w olbrzymich ilościach spożywają króliki swojskie. Na rynkach we Floren-

cji i w Rzymie widziałam całe stosy tej taniej zwierzyny. Właściwie tylko króliki dzikie do zwierzyny zaliczyć można. Króliki swojskie mają kolor mięsa i smak zbliżony do mięsa kury. Może w smaku są nieco bardziej mdłe, czemu łatwo zaradzić przez dodanie większej ilości korzeni lub włoszczyzny.

Króliki swojskie dochodzą do bardzo dużych rozmiarów. Szczególniej olbrzymie, klapouche Flaman dy mają więcej mięsa od dużego zająca. Drobniejsze gatunki, jak króliki gronostajowe, a szczególnie króliki dzikie, są to zwierzątka malutkie, o niedużej ilości mięsa; względy te należy mieć na uwadze, przyrządzając potrawę z królika.

Przepisy mówią zwykle o całym króliku, niezależnie od tego, czy ten królik, a raczej mięso z niego waży pół, czy też dwa kilo; większość więc gospodyń, nieznająca stosowania króliczego mięsa, wcale nie wie, jak się z niem obchodzić, tem bardziej, że chociaż wogóle zawsze należy różnemi przyprawami podnosić smak tego mięsa, jednak jedne i te same sposoby przyrządzania nie mogą być stosowane do królików o ciemnym i o białym mięsie.

Już przy sprawianiu królików należy zachować pewne ostrożności, o ile chcemy, aby mięso cały swój smak zachowało. Chodzi tu głównie o opróżnienie pęcherza moczowego, który, rozgnieciony, powoduje przykry zapach mięsa, niedający się usunąć żadnym moczeniem; to też opróżniamy go możliwie natychmiast po zabiciu zwierzątka, a w każdym razie przed ściągnięciem zeń skórki. Kto nie potrafi opróżnić pęcherza zapomocą rodzaju masażu, najlepiej robi, przekuwając go i wyciskając prędko mocz przez zrobiony otwór, uważając, aby się nie dostał do mięsa lub wnętrzości.

Skórkę zdejmujemy, jak z zająca, robiąc nacięcia pomiędzy tylnymi skokami; następnie wyluzowujemy skoki, za które wieszamy królika, i ściągamy całą skórę wraz z uszami. Skórka daje się ściągnąć łatwo, jak rękawiczka; w razie potrzeby, dopomagamy sobie ostrym nożem, uważając, aby przecinać tylko zatrzymujące błonki, a nie uszkodzić ani mięsa, ani skórki. Błonę wewnętrzną, znacznie cieńszą, niż u zająca, zdejmujemy tylko u dużych sztuk; u małych królików jest tak delikatna, że ani w pieczeniu, ani w duszeniu nie przeszkadza.

Oprócz mięsa właściwego używamy z królika: wątróbkę, płuca, serce, cynaderki; francuzi używają jeszcze i główki, po usunięciu z niej oczu.

Oczywiście, na pieczone używamy tylko mięsa z combra, udek i łopatek, jak z zająca. Żeberka i dróbka można oddzielnie udusić i użyć na jakiś farsz do pierogów lub pasztecików; farsz taki jest bardzo smaczny i delikatny.

Na pieczone używamy największych królików, przyczem możemy je traktować, jako drób, lub jako zwierzynę. Jako drób, pieczemy je z masłem, lub ze słoniną, przyczem jednak nigdy nie szkodzi naszpikowanie wędzoną słoniną. Do takiego pieczonego królika podajemy kompoty słodkie i octowe, borówki i wszelkie sałaty zielone lub jarzynowe.

Jeżeli chcemy królika traktować, jako zwierzynę, należy mięso zamarynować z octem i korzeniami na dni parę, lub chociaż na kilkanaście godzin. Można też ocet zastąpić lekkiem winem białym lub czerwonym (może być owocowe). Piekąc takiego marynowanego królika, należy go koniecznie gęsto naszpikować wędzoną słoniną i po zrumienieniu na maśle lub smalcu podlewać z początku marynatą octową, a pod koniec pieczenia — kwaśną śmietaną. Tak przyrządzo-

nego królika podajemy, jak zająca: z buraczkami, z czerwoną kapustą duszoną, ze wszelkimi kompotami i sałatami, używanymi do zwierzyny.

Klasycznym jednak sposobem przyrządzania królików są i pozostaną potrawki.

Wszelkie „ragouts” i „gibelottes”.

Przyrządzając je, nie należy zapominać, że mięso królika jest zbyt delikatne, aby je można było gotować. Nie da się z niego zrobić jednocześnie rosolu i potrawki z sosem, jak z kury, baraniny lub cielęciny. Musi ono dusić się w sosie, a nie gotować. Poza-tem powinno w takiej potrawce być coś, co nadaje jej wyraźny smak i aromat, zatem cebula czy pieczarki, pomidory lub wino, a zawsze korzenie: pieprz, ziele, listek, czasem majeranek, tymianek, bazylika lub szalwja — wszystkie ziela u nas mało znane, a w kuchni francuskiej i włoskiej codziennie stosowane.

Do takiej potrawki wkłada się wszystkie dróbka z królika, a nawet i główkę. Wybornym dodatkiem, bardzo podnoszącym smak każdej takiej potrawki, są plasterki wędzonej słoninki lub boczku, duszonego razem z mięsem, pieczarki w całości lub też oddzielnie w pień zrumienione, małe cebulki, czy szalotki.

Oczywiście, nie mogą tutaj dać wszystkich, znanych mi potrawek z królika; będę jednak się starała od czasu do czasu podawać takie przepisy w „Bluszczu”.

Jako dodatek do takich potrawek, mogą zawsze służyć zrumienione grzanki z bułki, lub ryż ugotowany na sypko.

Pani Elżbieta.

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(na 5 osób).

Zupa szwajcarska.
Kapusta faszerowana.
Kompot z wisien.

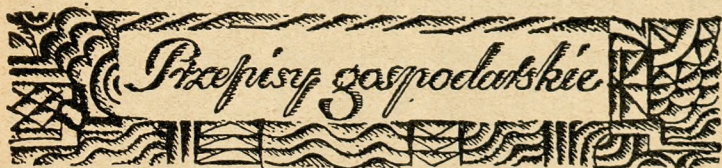
Wziąć kilo mięsa z kośćmi. Kości, ścięgni i żyły (około 40 deka) drobno porąbane, zrumienić w rondlu z masłem (łyżeczka od herbaty), zalać dwoma litrami wody, dodać marchewkę, pietruszkę i cebulę, gotować wolno, dobrze szumując; włożyć parę ziarn pieprzu, listek, osolić. Po ugotowaniu powinno pozostać półtora litra rosolu. Przed samym obiadem obrać pół kilo kartofli, prędko utrzeć na grubej tarce do jarzyn, wrzucić do rosolu i gotować dziesięć minut. Przed podaniem włożyć do wazy pięć deka dobrego masła i wylać na nie zupełnie.

Dużą głowę białej kapusty sparzyć wrzątkiem na minut kilka, aby liście można było rozłożyć, nie łamiąc. Z pozostałego mięsa (około 60 deka) zrobić farsz, jak na kotlety, dodając dziesięć deka siekanej słoniny, trzy bułeczki rozmoczone i wyciśnięte, przesmażoną w maśle cebulę, trochę soli i pieprzu. Bułeczki można zastąpić piętnastoma deka ryżu nawpół ugotowanego. Kapustę ułożyć na stolnicy, liście ostrożnie porozkładać wkoło, smarować farszem i złożyć głowę napowrót w całość. Obwiązać niemi, aby się nie rozpadła. W dużym garnku zrumienić łyżkę szmalcu, włożyć kapustę, osolić po wierzchu i wolno dusić, często podlewając wodą, lub kilku łyżkami rosolu. Gdy kapusta miękka, wyjąć ją na półmisek, krajać na części, jak pomarańcze, dopiero przy nakładaniu na talerze. Sos zaprawić łyżką mąki, zagotować, precedzić przez sito i podać w sosjerce. Parę łyżek śmietany lub parę pomidorów, uduszonych wraz z kapustą, ogromnie podnoszą smak tej potrawy.

Dwadzieścia deka cukru i dwie szklanki wody zagotować,

wrzucić na to pół kilo wisien niedrylowanych. Pogotować minut dziesięć. Łyżeczkę od herbaty mąki kartoflanej rozbić z paru łyżkami wody, wlać do kompotu, zagotować. Wynieść na chłód na godzin kilka. Można, gotując ten kompot, dodać parę goździków, lub kawałek cynamonu.

Pani Elżbieta.



JARSKA ZUPA POMIDOROWA.

Pięćdziesiąt deka kartofli obrać z lupinek i pokrajać w kostkę lub talarki. Tyleż bardzo dojrzałych pomidorów porozrywać na kawałki. Zalać te jarzyny sześcioma szklankami wody i zagotować. Włożyć sporą cebulę, przekrajaną na ćwiartki, wiązki z kilku listków pietruszki i ździebielek koperku. Postawić na wolnym ogniu i gotować jeszcze godzinę. Przetrzeć przez sito, osolić do smaku, zagrzać mocno i wlać do wazy na przygotowane w niej pięć deka najświeższego, śmietankowego masła. Oddzielnie podać drobne grzaneczki z bułki, skropione masłem, obsypane serem i podduszone w piecu do lekkiego zrumienienia.

KLUSECZKI KRAJANE Z POMIDORAMI.

Z czterdziestu deka mąki, dwóch jaj całych, łyżeczki soli i paru łyżek wody zagnieść ciasto, jak na zwykle kluseczki. Przykryć miską i potrzymać pod nią dobre pół godziny. Rozwałkować jaknajcieńiej, dać ciastu przeschnąć w arkuszach, pokrajać w pasy; pasy te poskładać po kilka i znów krajać na jaknajcieńsze kluseczki. Wrzucić na osolony wrzątek, gotować pod pokrywą minut dziesięć, odlać na durszlak lub przetak, przelać zimną wodą. Pięć dużych, bardzo dojrzałych pomidorów i dwie spore cebule, pokrajane w plastry, dusić wolno z pięcioma deka masła. Przetrzeć przez sito, lub przepuścić przez maszynkę, dodać szklankę dobrego mięsnego rosółu, czy szklankę wody z dwiema rozpuszczonymi kostkami buljonu, jeszcze minut kilka razem pogotować, osolić sos do smaku, nieco popieprzyć białym pieprzem lub łagodną papryką. Utrzeć na tarce dziesięć deka jakiegobądź suchego, ostrego sera. W ogniotrwałym naczyniu, wysmarowanem masłem, układać rządami makaron, każdy rząd posypując serem i polewając sosem. Ostatni rząd powinien być z sera, polanego sosem. Wstawić do pieca, aby się potrawa mocno zagrzała, i natychmiast podawać.

SZTUKA MIĘSA ZAPIEKANA.

Można użyć na to kawał sztuki mięsa lub pieczeni duszonej, pozostałej z dnia poprzedniego. Usiekać dużą cebulę i podsmażyć ją w łyżce masła, nie rumieniąc. Usiekać po garści: koperku, pietruszki, estragonowych listków, korniszonów (jeśli są—kaparów). Wymięszać z przysmażoną cebulą i paru łyżkami rosółu od sztuki mięsa. Wysmarować masłem ogniotrwały półmisek, ułożyć na nim połowę zielonej siekaniny, na to pokrajane w plastry mięso. Pokryć resztą zieleninki. Wstawić w piec na kwadrans, do dwudziestu minut. Podając, polać masłem zrumienionem z bułeczką i obłożyć kartofelkami z wody. Podawać w tem samym naczyniu, w którym się zapiekała.

JAJA SADZONE „PARMENTIER“.

Pół kilo mączystych kartofli ugotować, przepuścić przez maszynkę, dodać pięć deka masła, soli do smaku, filiżankę

cukier krzepi ludzi

Marmelady, konfitury, dżemy, soki, kompoty — to podstawa oszczędności gospodarstwa domowego.

SEZON W PEŁNI!

Tanie książki z przepisami w każdej księgarni.



konserwuje owoce

569

mleka lub dobrego rosółu. Zagotować razem, mocno wybijając łyżką, aż się zrobi delikatne, gładkie purée. Półmisek ogniotrwały wysmarować masłem, ułożyć na nim masę kartoflaną równą warstwą. Maczaną w wodzie filiżanką porobić w masie, w równych odstępach, nieduże wgłębienia. Wbić w każde wgłębienie świeże jajko. Każde jajko osolić, odrobinę popieprzyć białym pieprzem. Polać wszystko masłem z bułeczką i wstawić na kilka minut do pieca, aby się białka ścięły. Żółtka powinny pozostać miękkie. Podawać wprost z pieca w tem samym naczyniu, w którym się zapiekały.

SZCZYPIOR Z CEBULI NA JARZYNĘ.

Zielone łodygi cebuli oplókać w paru wodach, osączyć dobrze na sicie, pokrajać w trzycentymetrowe kawałki, osolić, dać tak poleżeć z godzinę. Na kilo szczypioru (bardzo opada przy duszeniu) wziąć piętnaście deka słoninki wędzonej. Drobno pokrajać, zasmażyć w rondlu, aby się tylko zeszkliła. Włożyć szczypior, wymięszać, przykryć pokrywą i dusić wolno, od czasu do czasu mięszając od dna. Gdy szczypior zmięknie, podawać do sztuki mięsa, lub do baraniny pieczonej, czy gotowanej. Wyborna jarzyna o bardzo oryginalnym smaku, u nas nieznaną, a używaną na Łotwie przez większą część lata, zanim łodygi cebuli się nie zestarzeją. Można, dusząc jarzynę, wrzucić kilka ziarn pieprzu, co jeszcze podniesie ostrość jej smaku.

KRÓLIK DUSZONY.

Dzikie króliki, mniejsze od hodowanych w domu, mają mięso ciemniejsze, lecz bardzo smaczne. Dzikie króliki, zabite na polowaniu, należy specjalnie starannie oprawić, aby w mięsie nie pozostało ziarenek śrótu. Po zdjęciu skórki, jak z zajaca (t. j. po zdjęciu skórki futerkowej należy jeszcze ostrym nożem

zdjąć błonkę, czyli skórę wewnętrzną), paproszymy króliki, przyczem francuzi pozostawiają główkę, płuca, wątróbkę i nerki. Mięso obmyć (nie moczyć), ułożyć wraz z dróbkami i główką na miseczce, skropić octem z kilku ziarnkami pieprzu i listkiem, przycisnąć deneczką i pozostawić tak na całą noc. Następnego dnia wziąć ładny rondel z pokrywą, rozpuścić w nim łyżkę masła, włożyć kilka lub kilkanaście cienkich plasterków słoniny. Zrumienić w tym tłuszczu porąbanego na równe cząstki królika, osolić, podlać marynatą i dusić wolno. Gdy już mięso zmięknie, dodać kilkanaście niedużych cebulek, obranych z łupinek, podlać rosółem i dusić dalej pod pokrywą. Gdy mięso i cebulki miękkie, podawać w tym samym rondelku. Zamiast rosółu, można tę potrawkę podlać winem białym (może być owocowe), przez co stanie się jeszcze smaczniejsza.

KOMPOT Z GRUSZEK DUSZONYCH.

Twarde, niedojrzałe, lecz dobrze wyrośnięte gruszki obrać i nastawić w bardzo niedużej ilości wody (pół litra wody na kilo gruszek). Włożyć dwie łyżki cukru (około 10 deka), spory kawałek cynamonu, przykryć rondel szczelną pokrywą, na pokrywę położyć ciężarek i dusić wolniutko na brzegu blachy, aby do dna nie przystało. Gdy nawpół miękkie, wlać szklanke czerwonego wina (może być owocowe) i dusić wolno jeszcze trzy kwadransy. Syrop cały powinien się prawie wydusić. Gruszki wyjąć na salaterkę. Do rondelka wlać kilka łyżek wody, pogotować parę minut, aby odstały z dna resztki syropu. Zalać tą wodą gruszki. Podawać zimne lub gorące. Bardzo smaczny i mniej mdły od innych kompotów z wczesnych gruszek.

KONFITURA Z BORÓWEK.

Na półtora kilo borówek wziąć pół kilo gruszek, niedużych, twardego gatunku. Borówki, ułożone na przetaku, dwukrotnie sparzyć ukropem i dać im ostygnąć na tymże przetaku, lub rozsypane na stolnicy. Gruszki obrać, poprzekrawać na półki, ziarnka odrzucić. Na te dwa kilo owocu razem (borówki i gruszki) dosyć jest wziąć sześćdziesiąt deka cukru (kto lubi bardzo słodko, może wziąć i całe kilo, jest to jednak zbyt wiele). Z cukru zrobić syrop, biorąc litr wody na kilo cukru. W tym rzadkim syropie gotować wolno gruszki, aż staną się miękkie i prawie przezroczyste. Wtedy dopiero wrzucić borówki i gotować jeszcze razem kwadrans — najwyżej dwadzieścia minut. W taki sposób smażyć borówki zachowują śliczny, czerwony kolor. Borówki, jeszcze ciepłe, składamy do kamiennych garnków. Zastygając, ładnie się zetną po wierzchu.

KONFITURY Z RÓŻY.

Niech mnie czytelniczki nie posądzają o karygodne opóźnienie. Róże cukrowe, centyfolje, których zwykle używamy na konfitury, przekwitły wprawdzie, lecz — zupełnie zresztą wypadkowo — przekonałam się, że wspaniałe konfitury różane można robić z kwiatów głogu wielkokwiatowego „rosa rugosa“, które kwitną do najpóźniejszej jesieni.

Listki świeżo rozkwitłych kwiatów zbierać przed południem, po obeschnięciu rosy. Krajać je w cieniutkie paski i zaraz ugniatać dobrze drewnianą łyżką, skrapiając obficie sokiem cytrynowym. Przełożyć do słoika, ucisnąć dobrze, osypać warstwą cukru, aby aromat się nie ulotnił. Jeśli nie możemy od razu zebrać potrzebnej ilości płatków różanych, można tę samą operację powtarzać przez dwa, a nawet trzy dni.

Na ćwierć kilo tak przyrządzonych płatków, robimy syrop z całego kilo cukru i dwóch szklanek wody. Na wrzący wrzucamy różę i smażymy dalej wolno, mieszając często, aby płatki do dna miedniczki nie przystały. Gdy róża już zaczyna być przezroczysta, weiskamy sok z cytryny i dosmażamy konfiturę razem. Po zupełnym ostudzeniu składamy w małe słoiczki i zawiązujemy pergaminem. Jeszcze nigdy ze zwykłej róży nie miałam tak aromatycznych i tak ładnych w kolorze konfitur; nie należy tylko żałować cytryny (dwie całe na tę proporcję).

Pani Elżbieta.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Sabina Raciążkówna: „Spadające gwiazdy“.

Nina Samotyhova: „Edward Abramowski“ (Wydawnictwo Tow. Kultury Etycznej im. Edwarda Abramowskiego).

Stanisław Małachowski-Lempicki: „Raporty szpiega Mackrotha o wolnomularstwie polskim 1819 — 1822“. — Skład główny Gebethner i Wolff — Warszawa.

KSIEGARNIA F. HOESICKA.

Stanisław Mackiewicz: „Myśl w obcęgach“. — Studja nad psychologią społeczeństwa sowieckiego.

Stefan Pomer: „Elegje podolskie“.

Henry Van Dyke: „Czwarty mędrzec Wschodu“ — przekład autoryzowany O. Małkowskiej. Nakładem Cisowego Dworku.

KORESPONDENCJE

P. Czytelniczkę z Zagłębia uprzejmie prosimy o podanie Redakcji swego adresu.

Pani G. W. — Pastylki benzoesowe można nabyć w każdym większym składzie aptecznym. Dodaje się je w stosunku 1 pastylki na litr konfitur — konserwują doskonale przetwory owocowe i jarzynowe.

Cena bardzo przystępna: 1 zł. z groszami za epruwetkę. Jeżeli Sz. Pani nie może dostać pastylek na miejscu, proszę wypisać je (powołując się na naszą redakcję) z firmy: Ludwik Spiess i Syn — ul. Daniłowiczowska — Warszawa.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9. — Tel. 259-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.

W torebce podróżnej



powinny się zawsze
znajdować
tabletki Aspirin, gdyż
podczas podróży
najłatwiej można się
przeziębic.

**Istnieje tylko
jedna Aspirina!**

Każde opakowanie i każda tabletką
prawdziwej Aspiriny nosi jako znak
ochronny napis BAYER w kształcie krzyża.



552

„Zbiór monogramów“

Album, zawierający przeszło sześćset wzorów, od
wykwintnych do najskromniejszych, dorównywa pod
względem wykonania zagranicznym wydawnictwom,
a mając charakter swojski, bardziej odpowiada wy-
maganiom domu polskiego.

Dzięki ilustrowanym wskazówkom, z naszego zbioru
może skorzystać każdy, nawet nieumiejący haftować.

Cena 5 zł.

z przesyłką pocztową 5 zł. 50 gr.

Wysyła Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Warszawa, Plac Zamkowy 9,
po otrzymaniu należności przekazem pocztowym, lub na konto
P. K. O. Nr. 13.555.

Biblioteka Wychowawcza Dziecka i Matki

wydawana przez

Tow. Wydawn. „BLUSZCZ“

Warszawa, Pl. Zamkowy 9.

OBEJMUJE NASTĘPUJĄCE DZIAŁY: Wychowanie fizyczne, higiena i profilaktyka, wychowanie umy-
słowe, wychowanie moralne, wychowanie obywatelskie, wychowanie estetyczne, wychowanie prak-
tyczne, beletrystyka dydaktyczna

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

- z. 1) *Marja Benisławska* „Z mojej praktyki wychowawczej” — 1 zł. 50 gr.
- „ 2) *Prof. Dr. Stefan Szuman* „Rozwój rysunku u dziecka i jego kształcenie” — 1 zł. 50 gr.
- „ 3) *N. Szretterowa* „Gra ruchowa jako środek wychowawczy” — 1 zł. 50 gr.
- „ 4) *Zofja Jętkiewiczowa* „O wpływie rodziców na przyrodzone wartości dzieci” — 1 zł.
- „ 5) *Marja Czeska-Maczyńska* „Pamiętnik młodej matki” — 1 zł.
- „ 6) *Ala Maryńska* „W przedszkolu” — 1 zł. 50 gr.
- „ 7) *Ryta Gnus* „Radość śpiewu” — 1 zł. 50 gr.
- „ 8) *Iza Moszczeńska* „Samodzielność i odpowiedzialność dziecka” — 1 zł. 50 gr.
- „ 9) *Alessandrina Ravizza* „Moi złodziejaskowie” — 1 zł. 50 gr.

Przesyłka pocztowa każdej książki wynosi 20 gr.

Należność z zamówieniem przesyłać do „BIBLIOTEKI WYCHOWAWCZEJ DZIECKA I MATKI”

Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. 15.800.

MODNE

ROBOTY KOBIECE

Wytwornie ilustrowane wydawnictwo, poświęcone artystycznej ręcznej pracy kobiety w dziedzinie upiększenia strojów i wnętrza domu mieszkalnego.

Każdy zeszyt tego wydawnictwa stanowi odrębną całość i jest wzorowym podręcznikiem nauki wykonywania pięknych robót, z uwzględnieniem kierunku artystycznego obecnej doby oraz wszelkich znanych ułatwień technicznych.

Wyszły i są do nabycia następujące zeszyty:

- | | |
|---|--|
| „Najnowsze sposoby ozdabiania sukien“ | „Przyozdobienia bielizny“ |
| „Najmodniejsze szale szydełkowe i na widelkach“ | „Roboty siatkowe“ |
| „Artystyczne tkactwo bez warsztatu“ | „Chusteczki haftowane“ |
| „Serwety i serwetki“ | „Jak ozdobić bieliznę pościelową“
(część I). |
| „Fantazyjne kwiaty w stroju kobiecym i w dekoracji mieszkań“
(część I). | „Roboty na widelkach“ |
| „Fantazyjne kwiaty w stroju kobiecym i w dekoracji mieszkań“
(część II). | „Przewlekanie na tiulu“ |
| „Jak się robi abażury“ | „Richelieu“ |
| „Worki i woreczki“ | „Aplikacje na tiulu“ |
| „Białe serwety haftowane“ | „Jak ozdobić bieliznę pościelową“
(część II). |
| „Poduszki“ | „Roboty z paciorków“ |
| „Kilimy i wełniaki“ | „Haft angielski“ |
| „Hafty ludowe“ | „Zwierzęta z gałganków“ |
| „Roboty krzyżkowe“ | „Mereżki“ |
| „Wyszycia włóczką“ | „Haft Janina“ |
| „Aplikacje“ | „Wstawki“ |
| „50 podarków i upominków“ | „Haft biały“ |
| „Zabawki z włóczki“ | „Wzory kilimów“ |
| | „Hafty kolorowe“ |
| | „Aplikacje“ (cz. II) |
| | „Lalki“ |
| | „Kotyljony“ |
| | „Ściegi kolorowe“ |
| | „Hafty toledo“ |

Zeszyt pojedynczy 2 zł.

Wysyła Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa
PLAC ZAMKOWY 9

po otrzymaniu należności przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 13.555.

Do nabycia także w większych księgarniach.